



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK X SOBOTA, 23/30 GRUDNIA 1950 R. Nr. 51/2 (442/3)

Cena nru świątecznego:

w W. Brytanii ...	1/6
w Belgii ...	7.50 fr.
w Francji ...	35 fr.
w Holandii ...	60 cent.
w Niemczech ...	75 Pf.
w Portugalii ...	3 esc.
w Szwajcarii ...	60 rp.
w Szwecji ...	1 Kor.
w Włoszech ...	60 lir.
w Brazylii ...	4.5 Cr.
w Australii ...	A1/9
w Argentynie ...	2 peso
w Kanadzie ...	20 cent.
w Stanach Zjedn....	20 cent.

W 442 NUMERZE:

Trzecia wojna trwa od roku 1944
— R. P.
Budowniczości nowej Warszawy — Stanisława Jazówna
Smutne liryki wesołego pisarza — Wł. Günther
Oficyna poetów i malarzy
Dzieci nie płaczą — F. Goetel
Na leśnictwie — Maria Kuncewiczowa
Strach — Al. Stpicyński
Postrzeżenia pozazmysłowe — T. Felsztyn
W Belgii witano gorąco gen. Andersa — T. S.

Ks. WOJCIECH ARTUR ROJEK (U.S.A.)

POJDŹMY DO STAJENKI...

Rozgrywające się wydarzenia na arenie świata, napawają serca obawą, jakoby ludzkość zapadała się w otchłań, z której nie może znaleźć wyjścia.

Wydaje się, jakby straszna noc spoiła świat — noc, w której pograżyła się myśl-ludzka; i błąka się bezradna, i coraz to więcej trwożliwa, beznadziejna.

Wydaje się, jakby 20 wieków chrześcijaństwa, zesłiznęło się po niej, nie zostawiając nawet głębszych wydrzeń, nie mówiąc już o wyrobieniu zasad i kierowaniu się nimi w życiu.

Prawa Boże przekreślono — zastąpiono je „prawami“ szatana...

Prawdę wymazano z życia ludzkości, a jej miejsce zajęło niepodzielnie KŁAMSTWO, któremu nadano pozory „uczciwości“, jakiejś racji stanu — równowagi sił — narodów, grup, czy jednostek!

Dobro ludzkości — miłość — najszczytniejsze hasła, których pełne są usta wszystkich apologetów uszczęśliwiania biednego człowieka — stają się pustymi i czczymi frazesami, bowiem u samego podłoża jest KŁAMSTWO... — jest zimny i wyrachowany interes bloków, grup, czy jednostek — jest szalbierstwo, jest frymarczenie, najwznioślejszymi ideałami, wyrosłymi na podłożu miłości Boga i bliźniego!

Nie MIŁOŚĆ a NIENAWIŚĆ — ma się stać czynnikiem mającym zbudować nowy porządek w świecie. Nie słuszność sprawy, a przemoc i siła fizyczna, staje się elementem, mającym rozstrzygać o życiu ludzkości. Moc ducha ludzkiego, ześrodkowała się w „bombie atomowej“... Wydaje się, jakby nie istotne wartości i święte prawa nadane przez Stwórcę, oraz nakreślony przezeń cel życia, a materia była zasadniczą wartością, przez którą i dla której należy poświęcić wszystko, łącznie do zatracenia godności człowieka — dziecka Bożego — łącznie do zatracenia duszy nieśmiertelnej i jej zbawienia, po to, by nędzemu ciału, dać pełny i obfity „żłób“, choćby był on zastawiony na rozkładającym się trupie zamordowanego bliźniego!

Nie pomagają pełne głębokiej troski i tragizmu ostrzeżenia i nawoływania Ojca Chrześcijaństwa — Papieża Piusa XII — świat, jakby ogłuchł i stacza się po pochyłej, coraz to niżej i niżej...

Wyrosły na krzywdzie i dokonanych morderstwie 200 milionów ludzi — „pokój“ — zamienia się w straszną lunę pożaru, nadciągającej burzy wojennej...

Wzdryga się przed nią i trwoży myśl ludzka; nie idzie jednak za głosem sumienia, nawołującego do naprawienia krzywd i wzbudzenia ducha poświęcenia i ofiary, sprawiedliwości i ludopartego o prawa Boże, a wyszukuje drogi „appeasementu“, dla ulagodzenia „czerwonej bestii“, a że giną przy tym setki milionów „innych“ — to jest zgodne z „racją stanu“ — równowagą sił!!!

O, potworności i przewrotności ludzka! Kiedyż nadejdzie otrzeźwienie i zrozumienie, iż na „zbrodni“ nie można budować „życia“, iż sprawiedliwy Bóg pokarze, nie tylko zbrodniarzy — katów — ale i tych, którzy współpracowali, którzy do tego dopuścili, jak i tych, którzy przez oportunistyczny własny interes, nie przeciwdziałali złu!

Ale niech się nie trwoży serce nasze, ani nie lęka — jest Bóg, który, jak w ciągu wieków, tak i obecnie, pokarze tych, co sięgają po Jego władzę — jest Bóg — ten sam, który był wczoraj — dziś — i będzie na wieki — a królowaniu Jego nie ma końca!

Tylko — „głupi rzekł w sercu swoim, nie masz Boga“ — i jak już za ży-

cia naszego patrzyliśmy na te dowody potęgi, wszechmocy i miłości Bożej, doczekamy się jeszcze dnia, pełnego zwycięstwa Miłości — Prawdy — i Sprawiedliwości.

Niech się nie trwoży serce nasze — ani lęka...

POJDŹMY DO STAJENKI... tam znajdziemy pokrzepienie naszych serc i dusz, tam znajdziemy moc do pokonania wszystkich przeciwności i trudności — tam znajdziemy odpowiedź na wszystkie zagadnienia i zapytania, tam spłynie na nas ukojenie i wróca

siły do pracy i walki, aż do pełnego zwycięstwa.

Pójdźmy tam wszyscy — a specjalnie my Polacy i stańmy przed Dzieciątkiem Bożym — Jego Matką i Opiekunem św. Józefem, stańmy szeregiem, jak czyniliśmy to roku każdego, jak czyniliśmy przez wieki...

Pójdźmy i stanąwszy przed Panem — spójrzmy we własne oblicze...

Jakież uczucia zrodzą się w sercach naszych? Jakie myśli przepelnia nasze jestestwa?...

Czyż nie pokryją się oblicza nasze

rumieńcem wstydu, iż jesteśmy rozdzieleni — skłócenii, iż niezgoda wkrađa się w szeregi nasze, że w miejsce służenia Bogu — i Polsce — szukamy siebie, szukamy własnego urzędzenia się, czy zaspokojenia ambicji własnej — w czasie, kiedy jest konieczny największy wysiłek wspólny, by sprostać zadaniom, które na nas ciążyą, w czasie, który wymaga od nas najwyższych ofiar dla doprowadzenia tak długiej walki do pełnego zwycięstwa?

Czyż oblicza nasze, oblicza zahartowane w bojach i zmaganiach wieków

całych, a zwłaszcza lat ostatnich, czyż i one pokryją się strachem, który stał się główną przyczyną nieszczęść świata i pomniejszył jego ducha?

Czyż patrząc na nasz Naród, zakuty w kajdany niewoli i powiązany — nawet w jego najtajniejszych myślach — sierpem i młotem — sierpem, który ścina bezlitośnie najcudniejsze kwiaty myśli i żyć polskich — młotem, którego uderzenia wciskają się w każdą cząstkę jestestwa naszego — w każdy nerw — i pieką — i palą — i boją, i spać nie dają... — mimo odległości, mimo mór, gór i rzek, przetrzeni tak wielkich, jak wielkim jest świat — bowiem wszędzie prawie, gdzie żyją ludzie, są dzisiaj Polacy — tułacze, — czyż patrząc także w nas samych — tych, którzy wybrali gorzki chleb wygnańczy, byle nie poddać głowy w obrożę niewoli, by być ustawicznym „żywym“ protestem i wyrzutem ZDRADY, PODŁOŚCI, NIESPRAWIEDLIWOŚCI, a zarazem godności CZŁOWIEKA — czyż i my ulegliśmy uczuciom, które kierują polityką świata, jak i polityką żyć poszczególnych jednostek?

Przebac nam o Panie! — Jeżeli podziękujemy ci i pełni pokory wyznamy, iż z Woli Twojej — odważymy się rzec za św. Pawłem — „Z łaski Twej, o Panie jestem tym kim jestem“ — nie jesteśmy jako inni... Wiemy, iż to łaska Twoja, to od Ciebie dana nam Ojcowizna — której innym odmówiłeś, a dałeś nam. Z łaski Twej, jest Naród tym czym jest: — choć w kajdanach — WOLNY, choć powalony — STOI, choć rozbity — CAŁY, choć pogrzebany — NIEŚMIERTELNY!!!!

A stąd i uczucia, władające innymi narodami, są dla nas obce — ukochaliśmy Ciebie, o Boże — Prawdę — Sprawiedliwość — Wolność — ukochaliśmy Ojczyznę naszą — i dla Niej oddaliśmy, czy oddajemy wszystko, za nic sobie waząc, nawet największe dobro, życie nasze!

Nie włada przeto nami uczucie lęku, czy strachu, a jedynie bezbrzeżny smutek — iż ONA, MATKA NASZA — w NIEWOLI, iż staliśmy się nągrawaniem świata, że na ziemiach naszych zbrodniarze zabijają DUCHA NARODU, że bezkarnie fałszują prawdę. — I nie syny tej męczeńskiej ziemi, a wróg i zaprzędani mu sprzedawczykowie zaprzeczają nasze najświętsze ukochania, prześladowają WIARĘ ŚW., więżą wiernych, kapłanów i biskupów — zatrują dusze dzieci naszych i odwodzą je od Ciebie Boże — a w miejsce miłości wsączają jad nienawiści — w miejsce prawdy — wpajają kłamstwo — w miejsce obowiązku i spełniania świętych praw Twoich — uczą i zachęcają do ich przekraczania!

Staliśmy przed Tobą — zebrani w STAJENCE KRAJU NASZEGO — czy tu na UCHODŹSTWIE — wszystkich prawie krajów świata — i kiedy słyszymy radosny śpiew Aniołów „Chwała na wysokościach Panu, a na (d. c. na str. 3)



WSZYSTKIM PRZYJACIOŁOM
PISMA, CZYTELNIKOM
I WSPÓŁPRACOWNIKOM
NAJSERDECZNIJSZE ŻYCZENIA
ŚWIĄTECZNE
I NOWOROCZNE
SKŁADAJĄ

Redakcja i Administracja
„ORŁA BIAŁEGO“

Z. TURKIEWICZ

Oficyna Poetów i Malarzy

Boże Narodzenie 1950

Z PAMIĘTNIKA

*Dzień schodzi z boczem popołudnia
w dolinę wieczoru.
Jest ubrany słonecznie
i powietrzem parnym spocony.*

(10. 9. 50. Mieszkanie na Balham Hill).

*Wolnych chwil bańki
pękają za każdym tupnięciem zegara.
Naraz
promień wpadł jak chłopczyk mały
i cieszyć się zaczął drobiazgiem miedzianym
na biurku.*

(Biurko mamy z secondhand'u).

*Jasność wchodzi na pełnych
otworach okien.
Podniosła sufit
i uśmiech dała sprzętom.*

*Zrobiła z radio
skrzynkę pełną nut słodkich,
które się w jędrne grona wiążą
i odurzają winobraniem.*

*Jesteśmy (żona i ja) szczapami
ogniska domowego.
Płoniemy. Płoniemy.*

*W palcach żony igła nurkuje
jak foka pozostawiając
nić świeżej wełny
na skarpetce.*

*Siedzę w fotelu
ciężarem pięciu dni.
pracy.*

Plaża

*Ciężkie biodra nastawione na słońce.
Kanonada ciał.*

*Piasek z wodą jest kompresem na
zmęczenie miastem.*

*Wypuszczone z Bastylii gorsetów
kształty
śpiewają swobodę ruchów,
których Bóg w fotelu obłocznym
radując się słucha.*

CZESŁAW BEDNARCZYK

PRZYJAŹŃ

*Szłaś gościńcem ogromnym. Ja drogą skrzywioną.
I było popołudnie, takie, które wzrusza.
Ty myślałaś o deszczu. A ja tylko o nim,
moim życiu za małym i kruchym.*

*I zmęczył mnie, minuty z latami poplątał
ów wiatr, co mija góry, ów wiatr — krótki zachwyty —
a ty, mała drobina wątku
wciąż mierzyłaś swoje długie szlaki.*

* * *

*Kiedy chyłę się w smutku i drogi się boję.
którą w milczeniu polnym osiadły stokrotki —
Mrówko, panienko wdzięczna — jesteś na mej dłoni
ostrym wybrykiem wiosny, albo lękiem wiotkim.*

JÓZEF ŻYWINA

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

ŁĄKA

*Za siwym parowem, skąd potok przesiąka
W wąskich skrętach, biegnąc do dąbrowy,
Pasą się w polu tłuste, krase krowy.
Ich białe wymiona, jak zjędźniałe kule,
Wzbierają ciepłym mlekiem, zwisają do dołu.
Oczy krow patrzają nieśmiało i czule,
Gdy w parowie się przemknie ciężka postać wołu
W jarzmie, co skrzypi i wola całą okolicę.*

*Jeszcze z potoku kipi groch cukrowy,
Co zakwitł i srebrnym rzędem wszedł w pszenicę.
A potem dalej tylko same snęgi
Konieczyn, same ziola, czysty smak gruntowy.
Od dąbrowy po stawy, po poloku brzegi.
Pachnie i leży naga w słońcu, wiejska łąka.*

MARIAN CZUCHNOWSKI



GŁOWA

Tadeusz Koper.

O wiosce co już nie żyje

*W chwastach puszystych, w rutach,
w zielonych grzywach wiatrów
smużą się białe płótna
zgrzebnym siostróm i bracióm.*

*Miody spływają obficie
z czubków lipowych zmierzchów.
— spijają je szpaki o świcie
zroszone po wierzchu.*

*Sypie się złoty owies
pod stopy co najzgrzebniejszej
siostry z pobliskiej dąbrowy
— nocy jutrzejszej.*

*W wiadrach pieni się mleko
i gwiazdy srebrną owsiane.
— zboża milczą w sąsiedkach
dla braci i dla mnie.*

*A siostra nasza w ogrodzie
zrywa co większe kwiaty.
Ręce ma białe i biodra,
siostra z pełnego świata.*

*Z krwi i mleka naszego
mgły będą nagle błękitnicę
aż na jutrzejszym brzegu
gęsto zasumują żytem.*

*Brat zgrzebny — biała siostra
i miody mądra i zboża
z gęstej wypłyną rosy
w ranek, w polne bezdroża.*



ULICA PARYSKA

Mieczysław Lurczyński.

Major Sieja miał kiedyś opinię wielkiego słuźbisty. Tak było jeszcze przed wojną, w Polsce, tak podczas wrześnie wojny, tak w Rosji, gdy po paru latach więzień i obozów Sieja dorwał się z powrotem do wojskowej służby. Od chwili wyjścia Polaków z Turkiestanu do Persji z Sieją, powiadano, coś zaszło. Słuźbę, owsem, pełnił nienagannie, w bitwach poczynał odważnie, stał się jednak rozważnym i jakby zubożniał na rygory wojskowe. Na emigracji, w Londynie, Sieja, zdaniem swych kolegów, „zdzicinniał”. Uszczypliwy żart miał zresztą i podkład rzeczywistości, gdyż major Sieja, starszy już pan w cywilu, pełnił obowiązki zarządcy w londyńskim przytułku dla polskich dzieci, które podczas wędrowek wojennych pogubiły w szerokim świecie rodziców. Stary rygorzysta był komendantem dla dzieci bardzo pobłaźliwym. Wojskowy budził się w nim tylko wtedy, ilekroć trzeba było dla nich coś wyjednnać. W nieustępliwości nikt nie dorównywał wówczas majorowi.

Dziś major oczekuje ważnej wizyty. Przybyć ma Lady Alice, osoba czeigodna i wpływa. Lady Alice od lat już zajmuje się sprawami Polaków. Pracowała w Urzędzie, ma stosunki z IRO, ochronkę zwiędza pierwszy raz.

Jest z laskawym uśmiechem obchodzi schronisko. Dzieci, jak to polskie dzieciaki na obczyźnie, trochę nieufne, trochę poważne, w każdym razie zażenowane, zachowują się grzecznie lecz sztywno. Na pożegnanie wizytantki śpiewają: „... Rozkwitwały pęki białych róż”.

Teraz z napięciem czeka wyniku wizyty.

— Jakież pani odniosła wrażenie? — Lovely — odpowiada Lady. — Czysto i słownie. Łóżeczka ładnie posłane, dzieci wyglądają zdrowo. Powinny czuć się happy.

Major spogląda na drzwi. — Tak. One powinny czuć się szczęśliwe. Może kiedyś jeszcze i będą. Ale jak dotąd... Słyszysz pani jak tam jest cicho? — Może to moja obecność tak na nie działa.

— Może. Ale tej ciszy jest i na codzień zbyt wiele w naszym schronisku. Zaskoczy nieraz i mnie i wówczas wracam myślami do jakichś ciężkich wspomnień, które widocznie wypędzają wrzawę i śmiech z tego dziecinca.

— Rzeczywiście — przytakuje Lady. — Dzieci tutejsze są jakieś poważne, zamyślone, mało dziecinne.

— Tak — zaszepił się major. — Śmiechu tu się nie słyszy.

— Rozumiem. Te dzieci dużo przeszły. Z pewnością za to dużo płaczą.

— Myli się pani... Dzieci te płaczą rzadko. Są wśród nich i takie, które nie zapłaczą nigdy.

— Pan chyba żartuje.

— Nie, proszę pani. To jest trudno zrozumieć, a i nie łatwo wytłumaczyć. Bo widzi pani, kto polskich dzieci nie widział w czasie ich wojennych wędrowek, kto, tak jak ja, nie towarzyszył im... major urywa i patrzy przed siebie.

— Pan z nimi przybył tutaj? — pyta poruszona Lady.

— Z nimi? Nie. Te przywieziono z Niemiec. Zetknąłem się za to z innymi, uratowanymi z Rosji. Jest tu, w schronisku jedno z nich. Dziś chłopak ma już dziesięć lat. Adoptował bym go chętnie, ale ktoś wie, czy ktoś z rodziców nie żyje gdzieś jeszcze w syberyjskich lagrach? Tu, nawet w tej przyćmiewionej rzeszy dziecięcej, nazywają go Milczek.

— Pan mi może opowie, jak to było z tym Milczkiem? — ożywia się Lady.

— Taki materiał jest potrzebny. Droga pani, materiału takiego można między nami zebrać całe tomy — ociągając się jeszcze major. — Skoro jednak pani powiada, że może być potrzebny, to cóż... opowiem.

... Było to w roku 1941. Znajdowałem się wówczas w niewoli sowieckiej. Czym ta niewola była w rzeczywistości, nie potrzebuję chyba tłumaczyć. Nastąpiła amnestia. Cokolwiek sądzono o niej, dla mnie oznaczała możliwość powrotu do służby wojskowej pod własnymi sztandarami. Muszę pani powiedzieć, że byłem wojskowym z powołania. Lubilem mundur i służbę. Rozkaz był dla mnie rzeczą świętą. W Buzulu, w południowym krańcu Urалу, zostaliśmy zaszeregowani w oddziały. Mnie, który przybyłem mniej zniszczony i zachwiany duchowo od innych — powierzono dowództwo kompanii.

— Tak. Buzuluk, słyszałam o tym. Otrzymałicie wówczas od nas mundury, żywność i broń.

— Owszem, otrzymaliśmy wszystko.

FERDYNAND GOETEL

DZIECI NIE PŁACZA

by się przemienić w żołnierzy, ale, mój Boże, w mundurach chodziły widma a nie ludzie. Podtrzymywała je jedna myśl: wydostania się z Rosji, chociażby na pograniczne Persji, gdzie tworzone wielką bazę dla Armii Polskiej. A taka baza, to już coś, jak kawałek Ojczyzny. Polecenia od władz dostawałem cętre: Sformować kompanię jak najszybciej i przewieźć za wszelką cenę na południe. Czy pani wie, czym wówczas był ów Buzuluk? Ile czynników krzyżowało każde zarządzenie wojskowe. Z całej Rosji dążyły przeciwko Buzulu najdziwniejszymi szlakami karawany Polaków, nie tylko żołnierzy. Starcy, kobiety, dzieci. Każdy z nich przynosił wieść o strasnej dołi pozostających. Tych, co dotarli do nas było i tak za wiele. Nieustannie przypływali nowi. Jak w tych warunkach nakarmić żołnierza przysługującą mu racją? Jak odziać, jak pomieścić? jak sformować? Rygorysta, jakim byłem wówczas, wywiązałem się z mego zadania najlepiej ze wszystkich, choć może i jak najokrutniej. W mroźny dzień, u schyłku roku, załadowałem oddział w drogę.

— Wziął pan z pewnością ze sobą i ludzi cywilnych?

— Nie. Oddziałom, udającym się do Turkiestanu przysługiwało prawo zabierania tylko najbliższych członków rodziny. Kompanię zestawilem tak, aby nie mieć tego kłopotu. Kilku żołnierzy, którzy w ostatniej chwili chcieli mi podrzucić jakichś domniemyanych krewnych, skrzyżowałem i ukarałem. Z trasy dochodziły już wieści o dokładnych rewizjach transportów, dokonywanych przez armię czerwoną i N. K. W. D. Zdarzało się, że pociąg zatrzymywano i spychano na boczny tor. Żołnierze nie dojadali i marzli. Były trupy, powstawał hańców mogił kółtoru. A mnie chodziło o wojsko. Krótką ręką poprowadziłem transport na południe. Wyposażony w rzetelne papiery, rozprawiłem się energicznie na pierwszej stacji z rewizją. Na drugiej stanęliśmy na dłuższy już czas. Tory gdzieś zawiąły, lód rozsądził podkłady, zima tego roku była ostra niezwykle. Żołnierzy swych z wagonu nie wypuszczałem. Transport w takich warunkach rozkleja się łatwo. I właśnie wtedy, na tej stacji, przybiegła do mnie jakaś kobieta, prowadząc za ręce dwoje małych dzieci.

— Polka?

— Tak. Jedno z widm, znanych mi już z Buzulu. Wzburzona i zrozpaczona zaczęła mnie błagać, abym przyjął do transportu grupę dzieci, które gdzieś, w stepach pozbiierała i doprowadziła tu na stację w nadziei, że spotka jakiś oddział wojskowy, który zabierze dzieciarnię na południe... Czy pani oszalała!?... — krzyknąłem. — Mam wziąć do pociągu całą ochronkę?... A czy jest można zostawić?... — uniosła przyprowadzoną ze sobą dziewczynkę i podsunęła mi ją do oczu. Bachor miał kilka lat. Przemarzyły, pokryty wrzodami, zsiniał, oczy miał jednak dziecinne, spojrzal na mnie z jakimś nieodpartym pytaniem i prośbą, tylko dzieci umięta tak patrzyć. Zmknąłem. Poszedłem z kobietą na stację. W zatłoczonej i brudnej hali stała w kącie grupa dzieci różnego wieku. Wszystkie skupione i wpatrzone w nas. Pierwszy raz wówczas ujrzałem mojego Milczka. Odbita od reszty dzieci, przycupnęła w kącie znużona do ostateczności dziewczynka, trzymając go na ręku. Cóż jeszcze dodać? Nim powziąłem decyzję, stanął za mną plecami mur moich żołnierzy, którzy jakimś sposobem dowiedzieli się o dzieciach... No cóż?... Odwróciłem się do nich, szukając decyzji, której nie miałem odwagi podjąć sam. Był tam wśród nich sierżant, srogi bardzo, mój człowiek... Brac!... warknął... Brac... podchwycili chórem. Pierwszy raz w życiu nie wykonałem wówczas służbowego rozkazu. Kazałem opróżnić jeden wagon, żołnierzom odebrałem część kocy, skróciłem i tak głodne już bardzo racje żywnościowe. Przed odejściem pociągu, gdy już załadowałem dzieciaki, zwracam się do kobiety, która ich przyprowadziła... Niechże pani siada, ruszamy... — Ja zostaje... — odrzekła. — Jaktó? Coż my pocniemy z ta dzieciarnią?... — Tam... — ukazała za siebie... — jest jeszcze więcej dzieci. Kilka musiałam zostawić pod drzewem... — Stałem bezradny, ogarnął mnie gniew... Dzieci!... —

wrzasnąłem... — Jedzciecie z wojskiem! Tu jest rygor! Zachowuywać się cicho! I nigdy nie płakać, nigdy nie płakać! Rozumiecie?... Ruszyliśmy pod noc. W dziecięcym wagonie panowała dziwna cisza. Żołnierze również zamarli. Nie wiem czy kto zasnął tej nocy. Nad pociągiem zaczęło brzęczeć. Myśli wszystkich nas biegły tam, do dzieciarni. Czy pani nie nuży to opowiadanie?

— Męczy raczej. Słyszałam i widziałam dużo. Ale ten obraz przejmujący do głębi. Te dzieci, same w zimnym wagonie, naprawdę nie płakaly?

— Nie. Tam rządził rygor, inny jakiś od mego. Rygor przerażenia. Były chwile, gdy pożałowałem swych słów. Taki mnie brał lęk, co się z nimi dzieje. Mróz przecież, wagony nieopalone. Przez pierwszą stację przejechałszy szczęśliwie. Krasnoarmiejcy przejrzel tylko papiery, dowódcę ich spytał, czy ręczę, że w transporcie nie ma cywilów. Zaprzeczyłem w żywe oczy. Nie było to łatwe, bo przecież kłamstwa dopuściłem się w służbie. Później już nie musiałem kłamać, ale to dopiero wtedy, gdy te milczące dzieci przełamały rygory mego transportu. Zawieja śnieżna hamowała drogę. Jechaliśmy pod włos wicherze. Pociąg przystanął w polu, przed następną stacją. Niech pani pamiętać, że stacje w stepach dzielą nieraz setki mil. Żołnierze wysypali się wówczas z wagonów i pobiegli pędem

ku dzieciarni. Drzwi do ciepłuszki rozwiąto z trudem. Były przymarzniałe... — Panie majorze!... — usłyszałem nawoływania... — Panie majorze!... Nieszczęście... Podszedłem do wagonu. Cichy jak przedtem, straszyl mnie ciemną swego wnętrza. Poświeciłem latarką. Pierwsze co ujrzałem, był to chłopczyk z piastkami ściśniętymi przy ustach. Usiłowalem je odchylić, były zmarznięte na kość. Przejal mnie okropny wyrzut, bo mi się zdawało, że te ręce dlań wstrzymane szloch... — Panie majorze — Lady Alice ujęła za rękę majora. — Niech pan może przerwie na chwilę, przybładł pan. — Dopowiem do końca. Głębiej, pod ścianą dziewczynka obejmowała nadal mego Milczka. Ręce jej też już były sztywne. Nie żyła. W szczerym polu musieliśmy pochować tych dwoje. Ziemia była zmarzła, bagnietami i łopatkami saperskimi wyskrobalismy dwa dołki, a krzyż... krzyża nie było. ktoś zdjął z piersi medalik i wrzucił do grobu. Dzieci milczały i teraz. Nie zapłakało żadne. Po pogrzebie, który dla mnie był jednocześnie i pochówkiem całej mej rygorystycznej przeszłości, poszedłem do wagonu, zabrałem Milczka, owinałem płaszczem i rzekłem do żołnierzy: — No chłopcy rozebrać teraz dzieci między siebie... Opróżniono wagon w lot. Zrozumiałem, że teraz rozpoczęła się otwarta już walka o życie tych dzieci i że jadę

MARIA KUNCEWICZOWA

Babka Martyna Eichler, oprócz krzepkiego jeszcze męża, przez chłopów białoruskich zwanego Elichwir, straciła w powstaniu prawie całą ruchomość. Sprowadzając do siebie na leśnictwo w Lepłowie odwoziła córkę, Cecylię Krzysztofowicz z synem, liczyła oczywiście na pomoc w ponownym dorabianiu się majątności. Ze wnuczka Frania pozostała w Czernawczycach przy swojej ciotce ze strony ojca, Reginie, ubodła ją do żywego, bo Franię przeznaczała była do kurników; ogród, chlew i kopanie kartofli zachowując dla sługi Anisji, kuchnię dla córki, a dla siebie dozór ogólny i krosna.

W sprawie czternastoletniego Adasia zdobyła się na wyprawę do Czerska, do samego głównego administratora dóbr Wittgensteinowskich, z prośbą aby wnuk zabitego w służbie książęcego nadlesnego mógł być przyjęty na strzelca i na miejscu, w leśnictwie przedewczony tak, żeby z czasem — kto wie — może nawet dziada zastąpił. Śmierć męża z ręki Bojarskiego, którego banda podszywając się pod partię Stasukiewicz, grabiła okolicę rzekomo w odwet za odmowę koni dla powstania, dała Martynie nie tylko leśniczówkę w dożywocie, ale i uznanie w Czerskiej „ministracji”. O tym że Elichwir przez pięć dni ukrywał w swironku Traugutta z jego adiutaniem Ottomem Kosteckim. Martyna nie wiedziała, więc nawet i nie bardzo pokornie dziękowała, gdy „administrator” przyjął laskawie jej prośbę.

Pierwszego wieczoru po przybyciu Krzysztofowiczów z Czernawczyc — w Wielki Czwartek to było — deszcz lał jak z cebra. W kuchni ubrania parowały przed kominem, szerząc nie miły zapach mokrej wełny, jedna oświata kura napastliwie dziobała pod stołem niewidoczny poślud, Anisja mieszała chochlą obierzyny dla „parsiuka”, Cecylia wodziła wzrokiem po ławie, gdzie rok temu Piotr, jej mąż nieboszczyk, siadywał nachmurzony. Martyna zapaliła knoty w misie pełnej słonecznikowego oleju, i w świetle pęlgających płomyków podeszła do Adasia, wielka, w chustce czarnej, opiętej jakimś mnisim fasonem koto brązowej, pobrudzonej twarzy. „Ot tobie, wnuku, podarunek na święta i po dziadku twoim pamiętka” — wyciągnęła z kieszeni w fałdach spódnicy nóż myśliwski krzywzy, z rękojeścią rogową wyszlizaną od dmoni Elichwira. „Jaśnie wielmożny pan Rawicz, administrator znaczy się, na służba książęca ciebie przyjmą zgodził się. Na początek strzelcem u gajowego Rokiciuka tobie być przydziała. A tam rewir puszcza prawdziwo, rysiów da wilków ęma, tak nóż przygodzi się tobie”. Z nożem w garści, którego ostrze czerwono pobłyskiwało, patrzyła ostro na niewielkie, pulchnawe ręce Adasia. Chociaż ten nóż miał być przeciw rysiom i wil

kom, ona sama zdawała się raczej z nimi trzymać, przeciwko wnukowi. Adas spojrzal niepewnie na matkę... Cecylia zmarszczyła się. „Podziękuj babci, Adasiuku! A nożyk ten, póki co, ja dla ciebie zachowam”. Przeczucie rzeczy strasznych chwyciło go za gardło, bąknął coś — i uciekł do sieni. „A cóż to jemu ukąsilo?” — zdziwiła się Martyna. — „Noża zląkł się? a? Nu tak i młodziak ty sobie, córko, na parskim chlebie mężowskim utuczyla”.

Odroższy na półkę nóż razem z różańcem, Cecylia zabrała się do szorowania garnków, chcąc jakby pracą własną wykupić Adama. Nazajutrz wstała do dnia, by zacząć ciasto, i odtąd coraz rzadziej widzieć ją było można modlącą się, a prawie zawsze zajęta jakąś ciężką domową robotą.

Minęły święta Wielkanocne, nie podobne do święt, bez paschy z twarogu, bez szafranowych bab, tylko z placikiem i z szynką żyłastą z dzika, cuchnącą jałowcowym dymem. Dopiero w poniedziałek po Przewodach Adas, przebijając się w codzienną kurtkę, natrafił w kieszeni na pakiet z „marmurkowymi” papierkami do barwienia jaj — i zaplała nad trwałością niepotrzebnych papierków i nietrwałością szczęścia. Trzy tygodnie temu, kiedy matka wręczała mu te „marmurki” — najnowszą nowość warszawską, rozchwytywaną w czernawczycy kupca — jakiś on był dumny, jaki niezwykajny! Wtenczas Frania była przeznaczona do Lepłowki i do kurników, a on do ciotki Reginy i do nauki w Warszawie... Z wypiekami na twarzy gotował się teraz zniszczyć „warszawską nowość”, aż tu matka weszła do pokoju. Jej wzrok od razu zaczął się o pakieciak; odebrała go. „Na przyszła Wielkanoc, da Bóg, przyda się ono tobie lewej, babci na posła, a to kury u niego roku czegoś niosą, sia nieszczęśliwie i jaj ona marnować nie pozwala”. Zatem Lepłowska zapowiadała się na wieczność! Adas chwycił kaszkiel i wybiegł na dwór, bo płakać przy matce nie miał czola.

Ale i na dworze czekała gorczy wspomnienia z tęsknotą udrę minionych i minionej nudy. Po tym błotnistym podwórku kiedyś biegał, opędzając się od uniozonosci całego stada dziewczuch folwarcznych... Teraz jedyna Anisja patrzyła za nim złościwie z podpuchniętych oczek. Z dnia na dzień topniał strój miejski Cecylii Krzysztofowicz. Najpierw znikł fasonik z czarnej koronki, który Czuczynska tak starannie upinała na jej grubych, siwawych warkocach, potem i korona z warkoczy

dalej już jako dowódca zbuntowanego oddziału. Na stacji, o zlej sławie, oczekiwał nas cały oddział NKWD. Dowódca wszedł do mego wagonu... A eto chto takojte?... — ukazał mi Milczka, którego trzymałem za rękę... — Nie widzisz?... — odparłem — dziecko... — Pokaż spisy!... — Przejrzył je... — No więc cóż?... — przyjrzał mi się z groźbą w oczach. Wyraz mej twarzy musiał go zastanowić... Major, rzekł z namysłem, nie wykonuje zarządzeń. Czy major wie, że go oddamy pod sąd?... — Oddacie, albo i nie. Dzieciaka oddam tylko ojcu albo matce... — Starcie może by i nie doszło do skutku, gdyby nie rewizje po innych wagonach. Opór żołnierzy, którym wydzierano dzieci z rąk stał się coraz gwałtowniejszy i zmusił czerwonych do opuszczenia pociągu i uszykowania się na stacji... — Kładź areszt na transporcie!... — krzyk-

NIE C

Nie oraj głębiej, oracz, niżej s... bo plug miał pldonej próchnicy i plonu tak nie pomnożysz, a ty więc przestań żądać od pola więcej.

Dłatego pilnie rozważaj, nim ty... czy jest głęboka czy płytka uprawa, byś się nie silił daremnie i nawo... gdy będziesz plugiem głębokim z

A kiedy spotkasz człowieka, przy... zanim do niego się zwrócisz, z sie... bo możesz przebić powłokę, w kt... i miał owocu i ziarna trociny sy

NA LEŚN

(Fragment z powieści)

zmieniła się na nieporządny węzeł z tyłu głowy. Brosza ze srebrnym krzyżem, kotwicą i sercem na hebanowej tarczy, bransoletka w kształcie kajdan, pierścionek z włosów katorżnika, misternie upleciony w dewicę: patria amor sancto — przedmioty ulubione, niedawne dary Piotra, z których tak była dumna — gdzieś przepadły, odłożone na dzień śmierci, czyli ponownego spotkania z mężem, albo może poświęcone na ofiarę Bogu, czy też ponurym bożkom leśnym. Pora coraz cieplejsza sprzyjała prostocie ubioru. Któregos dnia Adas zawstydił się, ujrzawszy matkę w luźnej koszuli pocianej, podpasanej krajką, stąpającą cicho i ciężko w łapciach z lyka — istny obraz dziada Elichwira. „Mama ze wszystkim na chłopka moda przebrój szła” — rzekł i spróbował się zaśmiać, ale śmiech wyszedł jak kaszel.

Otóż i on ani się obejrzał kiedy, bystrym spojrzeniem babki przygnalany, pochował na dnie kuferek książki i zeszyty, globusik, piórniki, bluzę uczniowską i sześć koszul czerwono znaczonych „na Warszawę”. Ani się obejrzał kiedy zaniechał starań o koronarską wymowę i szranie nogami w ugrzeźnionych ukłonach. Na myśl zaś o Reginie i Frani taki szum powstawał w jego głowie, że czym prędzej biegł machać siekierą dla upustu wzruszenia.

Wieczorami w kuchni ludniej bywało, niż za Elichwira. Młynarska i wszelka inna, „tutejsza” rodzina Martyny ośmieliła się zniknięciem tego przybłedy, który, choć i w parzancie chadzał, i modlił się przed ikoną, taki zawsze od panów i od Germanów się odbił w te strony, żeby ludzi fujała swoją i milczeniem swoim nietutejszym straszyc. Grube i chude baby, w chustkach przeważnie białych albo czarnych, zawiązanych pod brodą, siadywały na przyźbie, piskliwie się śmiejąc i popluwając ziarnkami. Mężczyźni, niekiedy w juchtowych butach i grubych kaftanach, brodaci, basowi, inni w sztykach, sprytnie zerkakający spod grzyw równo na czole przyciętych, miki na widok Adasia i pociągali nosami. Nieraz jakaś dziewczaka zachichotała niewiadomo czemu. Zmieszany, szukał matki, i z bólem serca znajdował ją w gromadzie, uciężony się nie różniącym od reszty, chyba poważnym spojrzeniem i okrągłymi sztykami ruchami. Co gorsze, nie wyglądała smutno. Czasem śmiała się razem z innymi, mówiła szybciej i więcej, niż w Czernawczycach, a używała różnych takich słów, których Adas dawniej nie słyszał.

nał dowódca enkawudzistów... Po-
ciąg nie ruszy dopóki nie przybędzie
tutaj konwoj wojskowy... — wyskoczy-
łem z wagonu z bronią w ręku... Jaz-
da!... — podbiegłem do lokomoty-
wy. Z żołnierzy swych nie potrzebowa-
łem stawiać na pogotowie. Kilku do-
skoczyło do mnie dla ochrony, sierżant
mój przyłożył maszyniście lufę do łba.
Ruszyliśmy. Wskoczyłem w biegu do
przedziału. Milczek siedział na ławce
spokojny, nieruchomy. Wziąłem go na
ręce. Nigdy nie miałem rodziny, ani
dziecka. Może dlatego właśnie ogra-
niła mnie jakaś czułość niedotężna...
No, mały, gładziłem malca po głowie,
już mięło. Teraz będziesz pod moją
opieką. Teraz możesz sobie popłakać.
Nie zapłakał. Tylko ja, stary służbi-
sta, odwróciłem głowę i poprzez lzy
patrzyłem w stępową dżicz. Co to?...
Czy i pani płacze?

ORAJ

Wyznawcy
nie siega czarnoziem,
chcący wyrzuci kamień i piaski,
ale tylko lemieisz wyszczerbisz,
a większej, niż może dać, taski.

Widzę pług do pracy ustawisz,
uprawna kora na polu,
ale nawet ziemi nie rozpul,
tylko zbyt cienką rozpruwał rolę.

Przeglądaj mu się uważnie,
z słowem głębokim i mądrym,
w której się dumnie przechadza,
a syny się z jądra.

ATOM

ŚNICTWIE

głównieści „Mąż Róży“)

z Kościół najbliższy był w Czersku o
12 mil. A konie ludzie Bojarskiego
uprowadzili podczas napadu. W nie-
dziele po śniadaniu matka wołała
Adasia do swego pokoju i kazała, kłę-
jąc przed obrazem Ostrobramskiej,
odmawiać modlitwy z książki przeznaczone
na Msze. Obraz, ze schedy po
ojcu, był teraz własnością Adasia. to-
też przyglądał mu się ciekawie, szcze-
rze pragnąc znaleźć w nim zachętę do
pobożności. Ale trudno było odgadnąć
czego życzy sobie Najśw. Panna Ostro-
bramska, bo oczy miała spuszczone.
Natomiast uwagę przyciągała jej o-
gromna korona zrobiona z bardzo dłu-
gich, bardzo spiczastych promieni, które
wszystkie godziły w niebo, całkowi-
cie obecne tu, co się ku nim pieło od
ziemi. Zresztą bez organów, bez tło-
ku, bez dzwonek i śpiewania, Ada-
sowi tak strasznie było nudno, że
przeskakiwał całe strony, lykał sylaby
i, zanim minęło piętnaście minut, już
ogłaszał jęklliwe: „Ite Missa est. idź-
cie obiad jeść“. Na co Cecylia niezmi-
ernie — żegnając się — odpowiada-
ła: „obżarstwo grzech główny, Adasi-
u!“ — i z wyrzutem patrzyła na syna.

Przez sien przesunął się ciszkciem,
zerkając po drodze w głąb „gościń-
nej“, gdzie babka biła pokłony przed
grubo złożoną ikoną Twerskiej Bożej
Matki, umieszczoną w rogu prawno-
slawnym sposobem. Był to skarb oso-
biście przez Martynę ocalony z pogro-
mu: wycięta w złotej blasze, twarz
ciemna i naga, o wąskim bizantyjskim
owalu, oczach długich, szeroko rozwar-
tych, o dużych, ludzkich ustach;
twarz, która się wydawała Adasiowi
za piękną dla świętej i za młodą dla
Matki; uwieczona w złocie, jak listek
jesienny w jaskrawym świetle zachodu.
Kępował się tych długich bo-
skich oczu kobiecych, a niewolnicze
pokłony babki przed takim obrazem
wzburzały go, jak gdyby Martyna czyni-
ła rzecz nieprzyzwoitą. „Prawo-
slawne sztuki...“ — pełen niesmaku
wsuwał się do kuchni.

Tam zazwyczaj, zajęta gotowaniem,
Anisja przemawiała do ognia, nie rzad-
ko ciskając węń szczyptę soli, to znów
plując — jeśli dymił — i wzywając
„wily“ na świadków, że dała mu jeść,
i to dobrych szczap smolnych. Chcąc
się jej przypodobać, Adas także uda-
wał gniew na ogień, a raz nawet, kie-
dy ciągu nie było i drwa zaledwie się
tliły, poskoczył do śpiżarki, chwycił
gar masła topionego i wielką jego bry-
łę cisnął na rozpalkę. Plomienie wście-
kle buchnęły, na czerwono oświetlonej
twarzy Anisji odmalował się zachwy-
t, pomieszany ze zgrozą, ale zaraz śmiech
wrzaskliwy ją napadł, zatoczyła się i

Dłonie wpięrają się silnie w kant
podłogi. W końcach palców, pod pa-
nokkami czuje chłód metalu. Zimno
płynie wzdłuż ramion aż do pleców.
Siedzę na krawędzi kolistego otworu,
pod którym rozpięta jest otchłań czar-
nej nocy. Nie widzę, ale wyczuwam
tę głębię, te setki metrów. Za chwilę
może za kilka sekund, skoczę w tę czar-
ną otchłań.

Cztery motory potężnego Libera-
ra grają pełnym rytmem. Jestem
na wpół ogłuszony ich grzmiotem, któ-
ry nieprzerwanie wgniata się do ka-
biny od przeszło pięciu godzin. Od pię-
ciu godzin już trwa lot ponad skurczy-
na na zagładę Europę. Lot z Italii do
Polski. Dwa razy stalowy stwór wpał
pod ogień niemieckiej artylerii, raz
pod Debreczynem, nad Węgrami, i tu
już gdzieś nad Wisłą. Stożek reflekt-
torów chwycił go w szpony swoich ma-
cek i bebnily po stalowych blachach
kabiny grzechoty odłamków.

Ale wyrwał się. Szaleńczoym htem
pionowym w dół, na pełnym gazie,
zmógł czujność drapieźnych oczu nie-
przyjaciela.

Teraz mknie równo i, o ile jesz-
cie przed chwilą jakby wahał się, jakby
szukał drogi — teraz rwie prosto i wy-
daje mi się, że przyspiesza lotu.

Znalazł już cel — czuwającą naszą
placówkę, na którą za chwilę skoczę.

Strach? Chyba już nie. Strach już
był. Przed kilku minutami. Nie ten
był ogniem artylerii, ani ten, kiedy
pikował w dół spod reflektorów i zda-
wało się, że spadamy stracić. Nie.
Potworny, dławiący gardło strach, któ-
ry zabił wszystkie inne strachy.
Śmierć ujęła kościatą, zimną dłońią
serce zatrzymując na chwilę jego bi-
cie.

straszny koci wrzask rozdarł mu uszy.
„Rys... rys...“ — powiedział do sie-
bie. „To rys... Nie bój się“. Ale
nie bać się teraz już nie mógł. Las
patrzył na niego i groził. Las siedł
na Adama razem z gwiazdami, z mu-
zykami, z carem, z Anisją i z ogniem,
z diabłami. „Tatko!“ — Adam zawył
i rzucił się na oślep, przez trzęsawisko
w stronę domu.

Tej nocy nie spał. Z początku trzą-
sł się w łóżku i dziękował ojcu za to, że
jego duch okazał się mocniejszy od zła.
bra: przeniósł go przez mokradło na
Leplowski dziedziniec. Potem rozmy-
ślał o Polsce. Jeżeli gwiazdy nie po-
padały, widocznie i ona nie „padła“,
mimo upadku powstania. Czemże ona
jednak była? Co oznaczała? Czyży-
by tylko drzewa i gwiazdy i rzeczkę Le-
śną? Czyżyby Regina? z jej bajkami
o ojczyźnie i honorze szlachekim?
Czyżyby książki? Może Warszawę?
Muszę zapytać Mamę — westchnął.
Ale z matką nie można było mówić o
niecześniejszych rzeczach. Tatko, tat-
ko!... Gniew go ogarnął. Cóż mnie
z ducha przyjdzie? Anisja mówił:
duch ludzki kręci się koło domu i ro-
dzinie pomaga przez parę miesięcy...
A potem odlatuje, ale wlati w żywo-
ty człowiekowi przeciwne. Tak i ty
mnie dziś od zebra wybawiał, a za mie-
siąc sam może zębem okażeś się!...
Uderzył pięścią w poduszkę. Raptem
jak żywą, zobaczył przed sobą twarz
księdza Lwigórskiego, kiedy wesoło za-
pewniał, że „s. p. asesor Krzysztofo-
wicz miłością swoją do Polski na wce-
sne niebo zasłużył sobie u Boga“. Za-
wstydził się i przestraszył... Wierzył
w zabobony — grzech śmiertelny.
Zresztą ojciec nie winien temu, że
„serce jemu z bólu pękło“.

Gniew minął, samotność pozostała.
Kręcił się i kręcił na sienniku, wal-
cząc z chęcią przekradzenia się przez
sien do matki; ale bał się obudzić Mar-
tynę. Dopiero o świcie przypomniał
sobie, że „Bóg miłosty jest wszę-
dzie“. Wylazł spod koca i, drżąc w
chłodzie porannym, zaczął się modlić w
imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Nazajutrz nic matce nie powiedział
o swojej przygodzie. Po śniadaniu za-
szedłszy do jej pokoju, niedbale za-
pytał: „Mama, a gdzie ten nożyk obra-
ca się co babka mnie ten na Wielka-
nosc sprentowawszy?“ — „On tobie
na co, Adasiu?“ Wzruszył ramiona-
mi. „Babka nadęła się, że ja nożyka
tego jej za paskiem nie nosza“. Pod-
ziw dla światowej mądrości swego
dziecka mignął w oczach Cecylii Kry-
sztofowicz. Podniosła wieko skrzyni.
Uwolnwszy nóż z chusty perskiej, w
którą był zaplątany, trzymała go w rę-
ku z miną zatroskaną. „Ale ty biegając
nie bédziesz, kiedy za pas jego za-
tkniesz, a?...“ Mrugała usilnie.
„I gniewać się nie bédziesz? A to nóż
złemu człowieku nie para“.

Później już szybko nadszedł mał
pierwszy dzień służby strzeleckiej
Adama.

ALEKSANDER STPICZYŃSKI

STRACH

Stałem jeszcze po drugiej stronie
otworu w tyle kabiny i miałem przejść
na miejsce, gdzie siedzę teraz. Jestem
bardzo obciążony. Mam na sobie dwa
ubrania, płaszcz, na tym kombinizon.
W kombinizonie teuczka z drobiazgami
i na plecach spadochron. W zewnętrz-
nych kieszeniach kombinizonu dwa
Colty i zapasowe magazynki, na pier-
siach przewieszony przez szyję pisto-
let maszynowy, z boku worek z amuni-
cją i lopatka. I jeszcze dużo, dużo
różnych rzeczy. Jestem tak ciężki, że
z pozycji siedzącej wstać sam nie mo-
gę — trzeba mi podać rękę.

Połowa klapy w podłodze kabiny ba-
ła już otwarta, a po jeszcze zamkniętej
części miałem przejść — dwa kroki
tylko — taka jest średnica otworu.
Nie byłem jeszcze przypięty, to zna-
czy taśma od spadochronu, tak zwana
linka życia, nie była przymocowana
do ściany samolotu. Taśma ta, przy
skoku musi wyrwać spadochron z plec-
aka. Jest długości kilkunastu metrów
i urywa się po całym wyciągnięciu, a
więc już poza maszyną. Wtedy spa-
dochron wyszarpięty przez nią z plec-
aka powinien się otworzyć. Inaczej
się nie otworzy. Dlatego nazywa się
linką życia.

Ale przypięty mogę być tylko po
drugiej stronie otworu, dokąd muszę
przejść.

Wchodzę na klapę, z trudem robię
krok i w chwili gdy jestem na środku,
samolot zataca wiraż. Siła ciężenia

przechyla mnie na otwartą stronę kła-
py i wiem z całą pewnością, że nie
na takiej potęgi, która by zdolała u-
chronić mnie od runięcia w dół.
Otczłań wciąga nieubлагanie...
Spadochron złożony w plecaku nigdy
się nie otworzy.

Wtedy to właśnie zimna, koścista ręk-
a ujmuje serce i zatrzymuje jego bi-
cie.

I kiedy już żegnam się ze światem,
inna jakaś siła podnosi mnie z nad
krawędzi przepaści i pochyla na ścia-
ne kabiny. To wiraż w odwrotną stro-
nę. Tak było przed kilku minutami,
czuję jeszcze mróz pod gumowym cheł-
mem.

Teraz już siedzę w pozycji pogoto-
wia i jestem przypięty. Gwałtowny
prąd powietrza, jak potężny wich-
szarpie mi nogi, które zwisają na ze-
wnątrz, częściowo wyciągnięta z plec-
aka taśma obsunęła się do otworu i
bije wściekle pod podłogą kabiny.

Jestem napięty jak sprężyna, gotow-
wy do skoku, na znak...
Naprzeciw, po drugiej stronie otwo-
ru, kłęcz jeden z załogi samolotu. Na
uszach ma słuchawki. W nich usłyszysz
 sygnał pilota i da mi znak, wtedy, w
tej samej sekundzie muszę skoczyć.
Trzyma rękę podniesioną do góry. Ta
ręką da mi znak — w dół!

Niebieska żarówka zaledwie rozpra-
sza mrok nocy, wyraźnie widzę tylko
jasną plamę podniesionej dłoni i blysz-
czące, rozplonione, szeroko otwarte o-
czy.

Wnętrze kabiny wygląda niesamowicie.
Bicie różnokolorowych i różnej
grubości kabli przebiegają we wszyst-
kich kierunkach, wiążą się w nagłe wę-
zły, drżą i pulsują tajemnym życiem,
zawieszane na kolistych żebrach. Da-
lej w głąbi, w gęstj już ciemni, ry-
sują się niewyraźnie taśmy amunicyjne,
zwisające z załadowanych karabi-
nów maszynowych po obu stronach ka-
biny. Duże pociski pobyskują jak
drapieżne zęby. Groźny jest ten uner-
wiony stwór, jakiś diabelski — wyda-
je mi się, że jestem duchem, który u-
cieka z piekła.

Tysiące myśli jak błyskawice, prze-
bijają mózg. Co będzie za chwilę?
Czy on, ten co kłęcz, co jakby trzyma
moje istnienie na nitce, zrozumie do-
brze sygnał pilota, czy ja zrozumie
jego znak, czy nie machnie ręką za
wcześnie, czy to nie będzie ruch przy-
padekowy? Czy spadochron się otwo-
rzy? Powinien! Ale nigdzie nie jest
powiedziane, że musi. Co czeka tam
w dole na ziemi? Sygnał od placówki
był odebrany. Sam widziałem przez
szparę w okienku światła w kształcie
dużej strzały. Ale nikt nie może za-
ręczyć, że to nasi. Niemcy mogli na-
paść placówkę, wymusić zeznania jak-
ie sygnały i udawać naszych, by ode-
brać zrzut. Jestem wprawdzie uzbrojo-
nony po zęby, ale czy zdążyć w razie
potrzeby odpiąć się od spadochronu i wy-
rwać pistolet z kieszeni? Czy
Schmeiser nie zapłaczę się w linki, co
łatwo może się stać?

Czy może to są ostatnie minuty życia?

Czuję zapach pól, który przez otwar-
tą klapę wdiera się do kabiny i wy-
pełnia pierś. Miesza się z zapachem
benzyny i rozgrzanej oliwy, więc czu-
je go wyraźnie.

Kłęcząca postać spręża się, unosi głow-
ę do góry. Motory ścisają, czuję
jak lot się zniza.

Pochylił się do przodu, wiszę praw-
wie w powietrzu — wzrok utkwiony w
podniesioną dłoń...

Wszystkie myśli uciekają, są teraz
tylko w opartych o krawędź rękach...
W dół!

Słyszę przez chwilę pękające sznurki,
którymi powiązane są części spado-
chronu, by wyrwał się z plecaka wed-
ług koniecznej kolejności i nagle o-
garnia mnie cisza.

Nagła cisza po pięciu godzinach hu-
ku, który rozsądzał głowę!

Jest cicho i czarno. Nie widzę nic,
roć jest bezkiszycowa i pochmurna.
Czuję, że spadam. Spadam szybko. Za
szybko. Spadochron powinien być już
otwarty, ale go nie widzę nad sobą.
Po chwili dostrzegam, że wiszę na jed-
nej linii. Co się stało? Muszą być
przecież cztery. Cztery szelki są w
spadochronie, a nie jedna!

Wyciętam wzrok aż do bólu i rozróż-
niam wreszcie ciemną, rozpiętą czaszę
spadochronu wysoko nad głową. Jest
mała, za mała. Nie jest całkowicie roz-
winięta i dlatego spadam tak szybko.
Przy tej szybkości spadania, nie bę-
dzie co zbierać na ziemi.

Coś się musiało stać! Mózg pra-
cuje błyskawicznie. Prędzej! Prę-
dziej!

Linki są skrócone!

Przy wysoku musiał prąd powie-
trza porwać mnie w ruch wirowy. Nie
czułem tego. Trzeba się odkręcić. Czy
zdążyć? Skok był z około pięciuset me-
trów — ile jeszcze do ziemi? I w któ-
rą stronę się szarpnąć, by się odkrę-
cić? Bo jeśli w złą...

Wydaje mi się, że w lewo, ale nie je-
stem pewien... Ułamki sekund gra-
ją o życie...

Rzucam się w obrocie na lewo, kilka
gwałtownych skrętów i nagle czuję
wyraźne szarpnięcie — opadam po-
woli.

Mogę teraz w pewnej mierze kiero-
wać lotem, gaszę wahania, to znaczy
naciągam kilku krótkimi ruchami lin-
ki i w ten sposób wstrzymuję kołysa-
nie.

Patrzę teraz w dół. Czarna noc przy-
kryła wszystko gęstą zasłoną. Myślę
o tym, że trzeba wylądować na prawo.
Lewo kolano miałem niedawno strza-
skane, nie jest jeszcze zdrowe. Nogi
muszą zamortyzować uderzenie o zie-
mię, muszę więc ją widzieć. Powinna
być tuż. Podkurcam nogi do łąc-
wania, prawą rękę ujmuję szyjkę kol-
by Schmeisera.

Wzrok już oswojony z nocą, dostrze-
ga w dole jakieś zarysy, z których
wnioskuję, że jednak jestem jeszcze
wysoko, gdy nagle... puchowe posta-
nie ścięła mi się pod nogi i jakby mat-
czyzna ręka składa mnie miłostnie i o-
strożnie wśród pachnących żywą ziele-
nią liści kartofliska.

Wtulam usta w wilgotną ziemię i
czuję żar pocałunku jak na gorących
wargach ukochaney kobiety.

Jedno uderzenie dłońią w klamrę u-
wala mnie od spadochronu, którego
czasza powoli gasnie, jakby układała
się do snu.

Jest tu jakoś jaśniej i w momencie
kiedy wstaję, czarna sylwetka jeźdźca,
o kilka kroków ode mnie, wspaniałym
skokiem bierze szeroki rów i w pełnym
cwale jeździec zeskakuje z konia tuż
koło mnie... Tak zsiadają z konia tyl-
ko polscy kawalerzyści.

Nie mam już żadnych wątpliwości,
nie potrzeba hasła, zresztą polowa ro-
gatywka...

Silne ramiona gniotą mnie w ser-
decznym uścisku.

KSIĘGARNIA POLSKA ORBIS 38, KNIGHTSBRIDGE, LONDON, S.W.
Wielki wybór książek dzieciennych i na upominki. KARTY ŚWIĄTECZNE.

PACZKI do Polski i Rosji.
CENNIKI NA ŻĄDANIE.
HASKOBA LTD.
29 Redcliffe Square, London, S.W. 10

Ukazało się w sprzedaży drugie wydanie
GEN. WŁ. ANDERSA
„BEZ OSTATNIEGO ROZDZIAŁU“
KSIĄŻKĘ TĘ KAŻDY POLAK POWINIEN POSIADAĆ!
SKŁAD GŁÓWNY:
GRYF Publications Ltd.
169-171 BATTERSEA CHURCH RD., LONDON S.W. 11
Cena £1.0.0 w W. Brytanii, \$3.00 w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych
(z kosztem porta). W innych Krajach w przeliczeniu dewizowym.
Wysyłamy odwrotnie po otrzymaniu należności!

FELIKS LUBICZ

Wigilia w Kozielsku

Kozielsk na rubieży dawnej Rzeczpospolitej Obojga Narodów położony, był wielką, prадawną fundacją klasztorną książąt Puzyńskich, wschodnim bastionem unicko-katolickiego kościoła, awangardą kultury zachodniej i wolności polskiej. Położony nad Żydrą, dopływem Oki, otoczony białymi murami z renesansowymi wieżami obronnymi — świadczył o polskim tam panowaniu.

Carskie rządy, archiereje i różni mniści po swojemu poprzetrzebali i rozbudowali cerkwie i refektarze, oblepiając całe osiedle charakterystycznymi „fligielkami“ i drewnianymi domami. Kozielsk stał się w XIX w. miejscem religijnych pielgrzymek, miejscem pokuty i skruchy. Obok, w położonym o kilkaset metrów za parkiem „skicie“, wielu rosyjskich „bogoiskateli“ pokutę cerkiewną odbywało, a między innymi i Dostojewski.

Wszystkie cerkwie a wraz z nimi całe bogate osiedle zbezczeszcili, splondrowali, a wreszcie broniący się tu popów, zakonników i wielu wiernych wystrzelali bolszewicy w 1917 i 18 roku. Tutaj osadzili oni wymordowanych później w Katyniu wiosną 1940 roku 5100 polskich oficerów, tutaj do rozwalonych i zrujnowanych budynków i cerkwi zwieźli bolszewicy z Litwy i Łotwy, po „entuzjastycznym“ wcielaniu tych krajów do Z. S. S. R. nową partię polskich wojskowych, tym razem około 2600 ludzi liczącą.

Nas, z obozu w Kalwarii, przywieziono tu 14 lipca 1940 roku.

Na ścianach, przy drzwiach figurowały podpisy tysięcy naszych wojskowych, były tam notatki, czasem wiersze, czasem jakieś aforyzmy. Na deskach zabitego okna cerkwi, przerbobionej na kuchnię, ponad kranami na „kipiatak“ był wycięsnioty twardego ołówkiem następujący napis: „Tu było 5100 polskich oficerów. Wywożą nas partiami po 200-300 ludzi. Ostatnia partia nasza wyjeżdża dziś, 11 maja 1940 roku“.

Wówczas nie wiedzieliśmy o Katyniu...

Najbardziej zagęszczonym blokiem był oficerski blok Nr. 9, t. zw. „Szanghaj“, przerbobiony z refektarza i apartamentów archierejskich, najgęściej zabudowany trzypiętrowy, zapluskwany przyzami. Wśród zaistniałych tam młodszych oficerów zastygłi różni swóicli „jogowie“, „procy“ i odgadywacze snów. Stamtąd też rozchodzili się po obozie różne przepowiednie, aż bolszewicy, przez jakiegó „kapsusia“ niechybnie poinformowani, omal na niewinnych wróbitów surowych represji nie nałożyli.

Blok Nr. 11, w drugiej cerkwi, był blokiem podoficerskim. Trzymał się bardzo solidnie i nie słyszałeno o jakichś tam zdających czy lizusach. Natomiast zawsze można tam było kupić machorkę lub papierosa, wymienić części garderoby.

Nasz blok Nr. 7 był mniejszy, piętrowy, przez nas samych na zimę wyreperowany.

Ścieżki wijące się przez zniszczone sady i rozwalony cmentarz, pomiędzy kopcami rozgarniętego śniegu, prowadziły do „zakładów użyteczności publicznej“: „fryzjerni, gdzie nas golono dwa razy w tygodniu, bo brzytwa, jako ostre przedmioty, nam odebrano — i na „Front Ławruchina“, czyli olbrzymiego ustępu, opiekunem którego był Ławruchin, sowiecki sanitariusz obozowy.

Ścieżka do tej instytucji prowadziła przez jedną z wież byłego klasztoru.

Wewnątrz tej wieży na ścianie dostrzegliśmy mnóstwo śladów od kul rewolwerowych. Chłop, pracujący jako asenizator, zapytany o ich pochodzenie, powiedział: „Lutsze nie spraszuj — zdziesiątka pogięto ludem, a skółko światuczenników!“

Zbliżał się dzień wigilijny. Była to druga wigilia w niewoli. Myśli wracały do kraju, do dawnych ognisk domowych. Każdy po swojemu widział najdroższe mu istoty, tak jak go wyobraźnia w stręg marzeń zanieść mogła.

Zapadał wieczór. Radio-punktury so-wieczkie przez swe głośniki ryczały, nadając przechwałki z osiągnięć sowieckiej produkcji, szczydziły z nonsensowej wojny na zachodzie, podkreślały beznadziejność położenia Anglii i bezcelowość dalszej wojny.

Chociaż praktyki religijne były surowo zakazane, a wszelkie utensylia

kościelne, przydzwigane tu z Litwy przez naszych księży, dawno odebrane, to jednak w niezliczonych godzinach rozmyślał i przymusowej kontemplacji, pogłębiło się poczucie wiary i zrozumienie wypływające z niej bezmiernej siły, dającej możność cierpienia i trwania.

Znaleźli się ludzie, którym udało się zebrać grono Rycerzy Marii, zdołali od wileńskich księży uzyskać w pacce trochę rodzynek i parę opłatków, imitujących część opakowania. Zalewając rodzynek wodą, dosypując do nich cukru — udało się przefermentować trochę niby wina. W kuchni udało się wypieć trochę cienikiego ciasta, zastępując nim opłatki wigilijne. Niektórym rodziny przemieciły też w listach kawałki opłatków z kraju.

Te trochę opłatków, lub ich namiastka wraz z małymi kawałkami śledzi, zaoszczędzonymi tygodniami, imitowały wieczerze wigilijne.

Zamieć gwizdała na podwórzu, niósąc tumany mroźnego śniegu, gdy przeprowadzano „prowierkę“. „Rozbiegł się po cztery! — Raz, dwa, trzy, diestiat!... Dawaj śnaczała... Raz, dwa...“ Tupać i otrząsać śnieg, znaleźliśmy się w baraku. Lamaliśmy się opłatkiem z bliźszymi kolegami, a

do innych sal posłaliśmy delegację. Później półgłosem zaśpiewaliśmy „Lubież, Jezuniu...“

Po chwili wpadli enkawudziści: „Czto za pieśni! Odstawit! Idi spać! Isz jeszcze im Boga zachotieloś! A ty widiel Boga? — pytają. — Niet — znaczty i jego niet!“

„Zgasić światło na salach! Cizsa!“ — wołają dyżurni.

Z innej sali dolatuje stłumiony śpiew: „Gloria, gloria in excelsis Deeeo!“

...Ciężko było jeszcze, gdy dziesiątek nas zebrał się w pokoiku na górnym piętrze.

Mały kawałek świeczki na stoliku chwiał się i migotał. W półmroku ręce kapłana podniosły w górę fajansowy kubek, zastępujący kielich w tej katakumbowej pastercie.

Czyjś zacień ręce cichutko trzykrotnie uderzył jakimś ówiekiem w błyszczący talerz.

Panie, nie jestem godzinie, ale daj siłę do wytrwania...

Było w obozie i w naszym bloku kilku niktzemników, donoszących bolsze-wnikom różne szczegóły życia obozu. Ściągali tym represje i deportacje, ale tej nocy i ich sumienie nie pozwoliło zdradzić.

Przez okno, wzorzystym pokryte szronem, wpadł stopniowo rumieniejący się poranek. Wychodziliśmy pojedynczo, aby nie zwrócić uwagi.

Bolszewicy już ponagliłi na poranną „prowierkę“, a wołanie ich ostrym zgrzytem przypominało rzeczywistość.

Radzimy sobie w Australii

Sydney, w grudniu 1950.

Największym skupiskiem polskim w Australii jest Sydney, gdzie ilość Polaków sięga 8-10 tys. (w całej Australii już 40 tys.). Jadąc w niedzielę do polskiego kościoła, w miarę zbliżania się do stacji Ashfield, można zauważyć, że prawie wszyscy jadący pociągami mówią po polsku, a złudzenie przeniesienia się do kraju wzmagają fakt, że umundurowany kontroler biletów na stacji również mówi po polsku.

Na obczyźnie kościół jest zazwyczaj najsiłniejszym łącznikiem, toteż zbiera się tu na nabożeństwo i na pogawędkę w sali parafialnej około 500 rodaków z rozlicznych dzielnic miasta. Małe jednorodzinne domki są powodem ogromnej rozległości tej prawie dwumilionowej metropolii. Godzina drogi koleją na stację do centrum nie jest tu rzadkością.

Szczodre datki na kościół świadczą, że dobrobyt australijski stał się już częściowo udziałem imigrantów.

Właśnie dnia tego odbywał się wieczór dyskusyjny w Polskim Towarzystwie Demokratycznym na temat „Nasz stosunek do Australijczyków“. Omawiano tam też ustosunkowanie się Australijczyków do nas. Przybyłszy z W. Brytanii stwierdzali, że jest ono o wiele lepsze niż Anglików. Przeważały opinie, że poza Polską nikt nie zamieniłby Australii na żaden inny kraj.

Kategorią niezadowolonych są ojcowie rodzin, przebywających w obozach. Nawet w prasie australijskiej utwierdza się przekonanie, że eksperyment rozdzielania rodzin okazał się nieudany, jako nie dostosowany do zwyczajów i psychiki imigrantów z kontynentu. Powodem rozdzielania jest kryzys mieszkaniowy, przybierający zastraszające rozmiary. Zdarzają się jeszcze wypadki, że imigrant kończy paroletni kontrakt pracy, a wciąż jeszcze nie zabiera rodziny z obozu, nie mogąc znaleźć mieszkania. Ostatnio chcą rozładować te obozy rodzinne podwyższono w nich znacznie opłaty za utrzymanie. Najprostszą drogą uzyskania mieszkania jest zbudowanie sobie lub kupienie domu.

Największą trudnością stanowi otrzymanie materiałów budowlanych, materiałów i robotników, względnie wywalczenie sobie miejsca w koleje w firmie budowlanej. Czekać na swą kole trzeba czasem rok lub dwa. Toteż aczkolwiek sporo Polaków posiada już place a nawet fundamenty, lub część ścian, to jednak jeszcze bardzo mało mieszka we własnych domkach.

Zapowiedziana migracja na kontynent australijski „Szczerów Tobruku“, który ukończyli już swe kontrakty na wyspie Tasmanii, okazała się mniej liczna, niż się spodziewano. Około 2/3 pozostało na miejscu, a przybyłszy do wielkich miast są przeważnie jeszcze w okresie urzędowania się. O ile znalezienie pracy nie nastroża trudności, o tyle zakładanie własnych

Warsztatów pracy, pomimo braku legalnych przeszkód, idzie opornie. Wielkie trudności nastroża uzyskanie lokali, niedostateczna znajomość miejscowych stosunków i t. p. Należy się spodziewać, że czas i energia pozwolą przezwyciężyć te trudności.

W dziedzinie zatrudnienia w swoim fachu osób z uniwersyteckim wykształceniem horoscopy nieco się poprawiły. W prasie od paru miesięcy znów głośno na ten temat. Powodem tego wszystkiego była ślepa kiszka pewnego „polskiego Ukraińca“.

Australijska ekspedycja polarna przebywała na małym wyspce, gdzieś koło Antarktydy, mając jedynego lekarza „dipisa“, dr. Udowikowa, który zachorował na ślepa kiszka. Potrzebna była operacja, której nie było komu zrobić. Cała ekspedycja znalazła się bez opieki lekarskiej.

Obliczono, że jest to za daleko, by doleciał tam hydroplan, lub dopłynął na czas mały stateczek, więc wysłano okręt wojenny z dwoma lekarzami (z których jeden znów DP) dla ekspedycji i zoperowania dr. Udowikowa.

Historia ta zajmowała pierwsze strony gazet przez szereg dni, aż wreszcie zwrócono uwagę na niemonotonalność sytuacji, że cenne zdrowie naukowców australijskich oraz urzędników na N. Gwinei można powierzyć lekarzom europejskim, podczas gdy w samej Australii nie mogą oni przekroczyć stopnia sanitariusza.

Okazało się, że nie pozwala na to ustawodawstwo poszczególnych stanów zastrzeżone po napływie uchodźców z hitlerowskich Niemiec. Wobec tego rząd federalny zwrócił się do rządów stanowych o zliberalizowanie ustawodawstwa w tej dziedzinie. Dotyczyło by to ponad 300 lekarzy i około 100 dentystów DP, przebywających obecnie w Australii. Wobec zdecydowanego oporu lekarzy miejscowych, można się jednak spodziewać jedynie nieznacznych ułatwień, toteż nadal lekarzom z kontynentu, pragnącym pracować w swym zawodzie, nie można polecać emigracji do Australii.

Australia przeżywa obecnie ogromną „prosperity“, spowodowaną niesłychaną zwyczajną cen węgla, będącej głównym produktem eksportu, nadto zapowiedzią dobrych urodzajów i pożyczki amerykańskiej.

Rozbudowa kraju idąca pełnym tempem umożliwia wchłanianie wlotyżsicznych rzesz imigrantów. Powojenni przybyźsze stanowią już ponad 5 proc. całej ludności. Prócz wysiedleńców i Brytyjczyków, przybywa tu coraz więcej Holendrów, Włochów, Maltańczyków i t. p. a niebawem ma być zrealizowany plan sprowadzenia na kontrakty pracy „Volksdeutsche“ów. Projekt ten wywołuje pewne sprzeciwu w społeczeństwie, jednak cofnięcie poprzednich zastrzeżeń przez wpływową australijską związek b. kombatanłów bodaj że sprawę przesądza.

E. Zagiell.

ŻYCIĘ SPOŁECZNE W ARGENTynie

Buenos Aires, grudzień 1950.

Naturalnie mam na myśli — życie społeczne i organizacyjne Polonii Argentynskiej. W swojej strukturze organizacyjnej jest ono proste, logiczne i — celowe.

Zacznijmy od pytania: ilu Polaków mieszka w Argentynie? Niestety — odpowiedź jest niemożliwa. Przynajmniej odpowiedź ścisła i rzeczowa. Nie istnieją w tej materii statystyki, ani urzędów miejscowych — ani naszych placówek konsularnych z okresu międzywojennego. Liczby podawane przez oficjalne i półoficjalne wydawnictwa są raczej dyktowane interesami polityki asymilowania. Ciekawym jest, że najwyżej określają ilość Polaków w Argentynie wydawnictwa niemieckie i częściowo angielskie. Wśród narodowości emigrujących tu stawiają nas, po Hiszpanach i Włochach, na trzecim miejscu.

Prawo argentyńskie określa narodowość na podstawie... miejsca urodzenia. Nie pochodzenia i przynależności państwowej. Wynika naturalnie z tego powodu szereg dziwacznych nieporozumień. Przynajmniej w naszym pojęciu. A więc cała, liczna, grupa emigracyjna przybyła do Argentyny przed pierwszą wojną światową figuruje jako: Rosjanie, Austriacy lub Niemcy... Dzieci emigrantów polskich przybyłych z Brazylii (jest i taka grupa!) mają w papierach podana narodowość... brazylijską! Znam ochotniczkę z 2. Korpusu, urodzoną w Mandzurii, która walczyła „jak lew“ by nie zostać... Chiną! Przynajmniej w papierach.

Trudno jest zatem stwierdzić ilość Polaków zamieszkujących Argentynę na podstawie zestawień statystycznych urzędu emigracyjnego.

Czy było wyjście z tej sytuacji? Owszem, było. Na blankiecie dowodu tożsamości wydawanego wszystkim posiadającym stałą wizę argentyńską (dowody te są takie same — jak i dla rdzennych Argentynczyków) w rubryce „observaciones“ (uwagi) — trzeba było stwierdzać: „es ciudadano polaco“ (obywatel polski). Znam takie konkretne rozwiązania. Niestety — sprawa ta nie była należycie postawiona i dopilnowywana.

Doдам jeszcze, że każde dziecko urodzone w Argentynie jest automatycznie pełnoprawnym obywatelem republiki. Obok obywateli naturalizowanych są to Argentyńcy polskiego pochodzenia.

Ale wracajmy do sprawy organizacji społecznych. Pierwsze polskie czasopismo w Argentynie nosił tytuł „ECHO POLSKIE“. Mam przed sobą jego pierwsze roczniki. Daty 1913, 1914, 1915... Znajdujemy w nim wzmianki z życia istniejących już wówczas towarzystw czy też związków polskich. Ciekawym jest fakt, że ówczesnym administratorem „ECHA POLSKIEGO“ i korespondentem dostarczającym materiał z życia społecznego i z życia emigrantów pol. w Misiones był p. Bolesław Schreiber, obecny... Prezes Związku Polaków w Argentynie!

Organizacje polskie z początku powstawały w stolicy i jej najbliższych okolicach. Potem — daleko na prowincji. W zestawieniu Rocznika Polonii Zagranicznej, w dziale argentyńskim, podawane nazwy organizacji polskich mogą wywoływać zdziwienie i wrzenie jakiegoś chaosu, czy też przerosu organizacyjnego. Widzimy tam długi spis: Związków, Unij Polskich — obok Towarzystw, „Domów Polskich“ i „Ognisk“. Nieporozumienie polega po prostu na... używaniu nazw, które powstawały bardzo dawno, są umieszczone w statutach poszczególnych organizacji i ze względu na administracyjnych (posiadanie na przykład osobowości prawnej), lub nawet tradycyjnie-sentymentalnych — nie mogą być zmienione.

Stare organizacje polskie powstawały tam — gdzie były większe skupiska Polaków. Są więc to organizacje o zasięgu terenowym, obejmującym rodaków zamieszkałych w danym mieście czy też nawet dzielnicy ogromnej stolicy. Stąd nazwy: „Związek Polaków w Berisso“, „Związek Polaków w Santa Fé“, „Tow. Postęp i Oświata w Chaco“ i t. d. Wszystkie one natomiast są sfederowane w organizacji, której nazwa brzmi: „Związek Polaków w Argentynie“.

Prócz tych organizacji opartych o teren są inne, zawodowe, kulturalne lub ideowe. Są to: Związek Kobiet Polek, Związek b. Wojskowych i Obronców Ojczyzny (odpowiednik Stow.

Kombatantów), Stow. Inż. i Techników Polskich, Stow. Rzemieślników i Pracowników Pol., Klub Polski, Stow. Śpiewacze im. Fr. Szopena, Związek b. Żołnierzy Brygady Karpackiej, Sekcja Harcerstwa Polskiego przy skautingu argentyńskim i t. d.

Wszystkie wyżej wymienione organizacje również wchodzą w skład Związku Polaków w Argentynie i są jego członkami.

Z tego wynika prosta struktura organizacyjna: członkami poszczególnych organizacji są osoby fizyczne a członkami pełnoprawnymi organizacji naczelnej — „Związku Polaków w Argentynie“ — są te organizacje, jako jednostki prawne.

Naczelną władzą społeczną Polonii Argentynskiej jest Zjazd Delegatów Towarzystw Polskich. Odbywa się raz — czasami dwa razy — w roku, w Euenos Aires. Liczba delegatów (głównie) poszczególnych Towarzystw na Zjazd jest statutowo określona w proporcji do ilości ich członków rzeczywistych. Od ilości swoich członków Towarzystwa opłacają składkę na rzecz Związku Polaków, organizacji centralnej. Utała się nazwa „Sejmiku Polonii Arg.“.

Zjazd uchwała rezolucje, wnioski gospodarcze i organizacyjne, przyjmuje sprawozdanie ustępującego zarządu, wybiera zarząd Związku na kadencję jednego roku.

Funkcje rewizyjne jak również prawo decyzyjne w sprawach majątkowych (na przykład sprzedaż lub nabycie nieruchomości) należą do Rady Nadzorczej Związku. Rada składa się z Prezesów i Sekretarzy wszystkich sfederowanych Towarzystw i wybiera sobie przewodniczącą.

Zarząd Związku reprezentuje Polonię Argentynską nazwaną, prowadzą gospodarkę Związku, „Patronat Polski“, wydaje tygodnik „Głos Polski“ — będący oficjalnym organem tutejszej Polonii, organizuje wszelkie uroczystości i imprezy o charakterze ogólnym, w miarę potrzeby powołuje do życia komisje lub sekcje o zadaniach specjalnych jak na przykład za obecnej kadencji „Macierz Szkolną“ lub pracujący już od roku Komitet Budowy Domu Polskiego.

Widzimy więc strukturę prostą, przejrzystą, opartą na zasadach samorządu lub gminy. A jej wielką wartość społeczną jest to — że stwarza JEDNOŚĆ. Zarówno reprezentacyjną jak i gospodarczą. Nie mamy tu „dwoistości“ lub nawet „troistości“. Wiemy gdzie jest „głowa“ i kto jest tą „głową“. Wiemy: co do czyjej kompetencji należy, i kto odpowiada za wykonanie. Wysiłek nie rozdrabnia i unika się kompromitacji.

Podkreślam jeszcze raz: ten schemat obejmuje CAŁOŚĆ zorganizowanej Polonii Argentynskiej. Poza jego nawiasem było — ostatnio zresztą rozwiane przez argentyńskie władze państwowe — towarzystwo figurujące pod nazwą „Tow. Pol. im. M. Konopnickiej“, będące pod wpływem przedstawicielstwa warszawskiego.

Dość jeszcze należy, że naturalnie sam fakt założenia czy powstania jakiegokolwiek organizacji społecznej lub towarzyskiej wcale nie oznacza, że wchodzi ona „automatycznie“ jako członek do Związku Polaków. O przyjęciu do Związku decyduje Zarząd tego ostatniego, po stwierdzeniu że statut nowej organizacji nie jest w sprzeczności ze statutem Związku i że... organizacja taka jest **POTRZEBNA!**

Związek Polaków jest zatwierdzony przez administrację argentyńską i posiada osobowość prawną.

Wszystkie organizacje polskie mają w swoich statutach zaznaczoną „a“ polityczność“. Należy to rozumieć w sensie nie prowadzenia działalności partyjno-politycznej i polityki godzącej w interesy państwa argentyńskiego. Stoją natomiast na gruncie nieuznawania ostatniego zaboru Polski i rzuconych Jej rządów.

Jak się rozwija polskie życie społeczne w Argentynie naszkicuie następnym razem. Powyżej przedstawiłem tylko jego zarys organizacyjny o party o prawdziwie demokratyczne zasady i — na szczęście! — wolny od wszelkich wpływów partyj i partyjek.

w. o.

Czy masz już Legitymację SKARBU NARODOWEGO?

TADEUSZ FELSZTYN

POSTRZEZENIA POZAZMYSŁOWE

Zjawiska „niesamowite“ od niepamiętnych czasów pasjonują człowieka dreszczykiem tajemniczości, są więc zawsze ulubionym tematem wstrząsających opowiadań i fantastycznych filmów. Z chwilą jednak, gdy racjonalistyczna nauka zeszłego wieku zdawała się odzierać otaczającą nas rzeczywistość z wszelkich osłonek „rzeczy niepojętych“, powszechne przekonanie t. zw. ludzi wykształconych odróciło się od zjawisk tych z lekceważeniem, przypisując je złudzeniom, sugestii, a nawet szarlatanstw.

Toteż podziwiać należy odwagę tych niewielkich umysłów badawczych, które — wbrew drwinom wszelkiego rodzaju snobów nauki — nie poszły za poglądem powszechnym, lecz z uporem starały się zgłębić te niezwykle zjawiska. Na pierwszy plan wysunęły się tu angielska *Society for Psychological Research*, francuski *Institut Métapsychique* oraz *American Society for Psychical Research*. W badaniach tych nie brakło i nazwisk polskich, jak niedoimani u nas *Ochorowicz* i *Ossowiecki*.

W ciągu pół wieku pracy towarzyszącej tym ogłoszonym tomom protokołów, opisujących fakty, których ścisłość i wiarygodność sprawdzono jak najbardziej skrupulatnymi metodami naukowymi, a wskazujących w sposób niezaprzeczalny na istnienie zjawisk natury psychicznej, nie dających się pomieścić w ramach szeroko rozpowszeczonych racjonalistycznych poglądów na przejawy myślowe człowieka. Są to, jeśli chodzi o zjawiska ściśle psychiczne, fakty otrzymywania przez umysł człowieka tych wiadomości, których zwykle dostarcza mu zmysły, bez ich pośrednictwa, a więc telepatia (przekazywanie myśli bez pośrednictwa zmysłów), hipnoz, będąca w gruncie tylko silniejszą formą telepatii, widzenie na odległość, wreszcie jasnowidzenie i przeczuca, czyli ostrzeżenie zjawisk przyszłych, słowem więc *postrzeżenia pozazmysłowe*.

Pomimo, iż sposób, w jaki fakty te zbadać, wyłączał możliwość podawania ich wiarygodności w wątpliwość, stosunek wiarygodności uczonych do nich był... strusi. Po prostu przeczyli im bez żadnych podstaw, lub w najlepszym razie udawali, że ich nie widzą. Charakterystycznym jest tu podany przez *J. B. Rhinę* przykład wybitnego uczonego, zapalonego badacza, który gotów był lata całe poświęcić studiom nad niewyjaśnionymi zjawiskami w swej specjalności. Ten sam uczyony jednak, pomimo iż w młodości był osobście świadkiem oczywistego zjawiska przeczuca, i mimo iż sam twierdził, że nie umie go sobie w żaden sposób wytłumaczyć, nie pomyślał nigdy, że jednak może i temu należałoby poświęcić trochę uwagi badawczej.

To stanowisko uczonych jest psychologicznie zupełnie zrozumiałe. Jak bowiem słusznie stwierdza *Margaret Knight*, *zjawiska te* zdają się obalać wszystkie podstawowe przesłanki, na których dotychczas opierały się nauki przyrodnicze. Im więc bardziej zarozumiała, im bardziej apodyktyczna jest wiara uczonych w prawdziwość materialistycznych teorii, przekazywanych im przez poprzedników, tym mniejsza jest ich skłonność do przyjmowania faktów, które tym ich teoriom wydadzą się przeciwnymi.

Z czasem jednak coraz liczniejszy materiał dowodowy oraz nauka skromności, jakiej większości — choć nie wszystkim niestety — uczonym udzieliło gwałtowne zaważenie się najbardziej zdawało się ugruntowanych teorii fizycznych na początku bieżącego stulecia, spowodowały, że opór świata nauki przeciw przyjmowaniu prawdziwości postrzeżeń pozazmysłowych zaczął maleć. Oficjalna psychologia pogodziła się już z hipnozą, a jeśli chodzi o telepatię, to uderzająca jest niedawna opinia wybitnego zoologa angielskiego, prof. *Hardy'ego* wypowiedziana ex praesidio na zjeździe zoologów, że żaden umysł nieuprzedzony nie może dziś odrzucać faktu telepatii.

Nie mogąc więc już dziś przeczyć faktom, przyrodniczy szkoły materialistycznej starają się je przynajmniej osłabić zarzutem, że — skoro są one niepowtarzalne w laboratoriach — ich waga dowodowa jest jak gdyby mniejszej wartości. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że tego rodzaju argument jest jedynie niechętnym wybiegiem, niegodnym naukowca. Wiele przeciw mamy ogólnie przyjętych teorii przyrodniczych, których prawdziwości nie możemy stwierdzić w naszych laboratoriach, jak choćby teorie o powstaniu układu słonecznego, lub tak popularna teoria ewolucyjnej w biologii. Ta ostatnia, choć niewątpliwie nie dająca

się laboratoryjnie udowodnić, uchodzi pomimo to wśród biologów za tak silnie ugruntowany pewnik naukowy, że gdy niedawno prof. *Herbert Dingle* osmielił się powiedzieć w radio, iż jest ona jedynie najbardziej prawdopodobną hipotezą, spadły nań gromy biologów, oburzonych do głębi tym świętokradstwem.

Ostatnio jednak i te zarzuty przeciwko prawdziwości postrzeżeń pozazmysłowych musiały umilknąć. Szereg poważnych uczonych, psychologów, matematyków statystycznych, fizyków, antropologów, profesorów uniwersytetów, a więc ludzi wdrożonych w technikę badań naukowych, przeprowadził na wielu uniwersytetach

ścisłe badania na ten temat, właśnie w laboratoriach stosując jak najściślejsze metody badawcze i najbardziej skrupulatną analizę matematyczną ich wyników. Technika badań polegała w większości wypadków, w najrubiejszych zarysach, na tym, że jeden osobnik wyciągał z mechanicznie tasowanej talii kart (zawierającej kilka — zwykle pięć — różnych obrazków, możliwie prostych, a przy tym wybitnie różniących się od siebie) jedną kartę, drugi zaś odgadywał w tym czasie na ślepo jaką kartę wyciągnęto. Szereg bardzo skrupulatnych zabiegów wyłączał przy tym jakąkolwiek styczność bezpośrednią obu badanych osób. Ilość do dziś przeprowadzonych

prób sięga już setek tysięcy. W większości z nich zgodność odgadywań z ciągnięciami jest w granicach przypadku. U niektórych jednak osobników zbieżność ta przekracza wielokrotnie to, czego od przypadku spodziewać się można i odpowiada wynikowi, który — gdyby zgodność ta miała być tylko przypadkową — miałby szanse zajścia raz na miliony, a nawet miliony milionów ciągnięć. Fakt więc, że u tych samych jednostek zgodność tak wysoka powtarza się systematycznie, jest najściślejszym naukowym dowodem, że mamy tu do czynienia nie z przypadkiem, ale ze zjawiskiem regularnym, świadczącym, że przekazywanie myśli bez pośrednictwa

zmysłów jest faktem niezaprzeczalnie udowodnionym przez tak ulubione przez przyrodników doświadczenia laboratoryjne.

Co więcej, w doświadczeniach *Caringtona*, przeprowadzonych pod kontrolą uniwersytetu w *Cambridge* i *Solala*, profesora uniwersytetu w *Londonie*, podobnie jak i w szeregu doświadczeń dokonanych w laboratoriach uniwersytetu w *Duke*, *Nowa Karolina*, w Stanach Zjednoczonych, stwierdzono, że niektóre badane jednostki systematycznie odgadywały nie karty wyciągnięte w danej chwili, ale te, które odkryto przy ciągnięciu następnym. I tu znów zgodność wyników i ich systematyczność całkowicie wyłączały przypadek. Zjawiska te o tyle są ciekawe, że laboratoryjnie wykazują znaną poprzednio jedynie z faktu przeczuć zdolność umysłu ludzkiego postrzegania zjawisk przyszłych, a więc *postrzeżeń przedwczesnych*.

Wspomniane wyżej zjawiska postrzeżeń pozazmysłowych i postrzeżeń przedwczesnych zdają się stać w zupełnej sprzeczności z przyjętą przez wielu biologów teorią *T. H. Huxley'a*, że zjawiska psychiczne są ściśle odpowiadnikami zjawisk fizjologicznych zachodzących w mózgu (teoria epifenomenalizmu) i raczej potwierdzają opinię tych, coraz dziś liczniejszych, uczonych, którzy sądzą, że myśl jest czymś odrębnym od świata materii, czymś nie dającym się wyjaśnić jedynie materialistycznym poglądem na zjawiska życia.

Nie wiele mogą tu pomóc teorie, przypisujące zjawiska postrzeżenia pozazmysłowego rzekomym, a nie wykrytym dotąd, falom elektromagnetycznym, wysyłanym przez mózg jednego człowieka, a chwytanym przez mózg człowieka drugiego. Jakkolwiek bowiem wiemy, że procesy mózgowe są istotnie połączone z okresowymi zjawiskami elektrycznymi (i fakt ten wykorzystuje dziś już medycyna dla wykrywania ognisk chorobowych w mózgu) to jednak z jednej strony są to zjawiska zbyt słabe, aby mogły być źródłem promieniowania, sięgającego na odległość 200 mil (a nawet, jak niektóre inne dane zdają się wskazywać, i kilku tysięcy mil), z drugiej zaś nic w budowie mózgu nie wskazuje na to, by mogły tam istnieć dostatecznie czule odbiorniki, by fale te (jeśli one w ogóle istnieją) chwycić. Ponadto (co jest najbardziej decydujące) żadna teoria promieniowania nie potrafi wyjaśnić postrzeżeń przedwczesnych, a więc zjawisk, które jeszcze nie zaistniały i które tym samym nie mogą zachodzić w mózgu żadnego człowieka. Raczej więc należy się zgodzić z *Tyrellem*, który twierdzi, że myśl jest zjawiskiem pozaprzedwczesnym i pozaczasowym.

Twierdzenie to nie powinno być wydawać się nam tak dziwnym. Przecież nowoczesna fizyka, dla wyjaśnienia zjawisk zachodzących w świecie atomowym, zmuszona została do przyjęcia założenia, że odbywają się one w substancji, w której nie istnieje czas i przestrzeń tak nieodłącznie związane ze światem, dostępnym naszym zmysłom. Jeżeli więc w fizyce godzimy się na istnienie zjawisk pozaczasoprzedwczesnych, nie ma żadnej logicznej podstawy, by nie dopuścić ich w dziedzinie zjawisk psychicznych.

Jakkolwiek jednak by nie było, postrzeżenia pozazmysłowe stały się dziś faktem naukowym, któremu nie może zaprzeczyć żaden nieuprzedzony umysł. Trudno dziś jeszcze ocenić, jaką rolę odegrają one w przyszłym rozwoju nauki o człowieku. Wiele jednak przemawia za tym, że — jak mówi *Rhine* — kamyk nieopatrznie ognis odrzucony przez naukę, stanie się z czasem jej kamieniem węgielnym.

KLAUDIUSZ HRABYK

Tajemnica katyńskiego dokumentu

New York, w grudniu 1950.

Niedawno obiegła prasę i opinię polską i światową wiadomość, że w Waszyngtonie, wśród niewyjaśnionych okoliczności zaginął amerykański dokument w sprawie Katynia. Od dawna zaś powtarzano pogłoskę, że Amerykanie posiadają jakieś, jakoby ważne dokumenty w tej sprawie i że ich ogłoszenie mogłoby na sprawę katyńską rzucić nowe światło. Nic więc dziwnego, że wiadomość o zaginięciu tych dokumentów wywołała poważne poruszenie.

Rzecz nabrała na tyle wielkiego rozgłosu, że Departament Obrony w Waszyngtonie ogłosił ostatnio zbiór dokumentacji związanych z zaginięciem i poszukiwaniem dokumentu katyńskiego i dzięki temu możemy bliżej poznać się z tą niezwykłą i dotąd jednak niewyjaśnioną sprawą.

Ma ona swoją historię: sekretarz Komitetu Badania Zbrodni Katyńskiej, współpracownik „Herald Tribune“ p. *Julius Epstein* — rok temu — w lipcu 1949 ogłosił dwa artykuły w sprawie Katynia i w odpowiedzi na to p. *Harry Thomas Schultz* z *Hanoveru*, *New Hampshire*, napisał list do p. *Epsteina*, w którym zwrócił mu uwagę, że w swoich artykułach o Katyniu nie wspominał o amerykańskich i brytyjskich oficerach, którzy w kwietniu 1943 roku byli na miejscu zbrodni, przywiezieni tam przez Niemców z obozów jenieckich w Niemczech. Sam p. *Schultz* był także jeńcem niemieckim i przebywał w Oflagu IX A/Z *Rouhenburg* koło *Fuldy* i stamtąd właśnie władze niemieckie w kwietniu 1943 zaprosiły dwu oficerów amerykańskich: ppulk. *Van Vlieta* i kpt. *Stewart* oraz jednego oficera brytyjskiego ppulk. *Stevensona*, których zawiozły do Katynia. P. *Schultz* porodził p. *Epsteinowi*, aby zwrócił się o informację także do tych świadków sprawy.

List p. *Schultz* był pisany 6 lipca 1949, a już 4 sierpnia członek Komitetu Badania Zbrodni Katyńskiej p. *Montgomery M. Green* z *Havre De Grace*, *Maryland*, wysłał pismo w imieniu Komitetu do p. *Johna Van Vlieta Jr.* z zapytaniem, czy to on właśnie był w Katyniu w roku 1943, a jeśli tak, jakie poczynił badania w tej sprawie i czy mógłby zeznać na temat zbrodni katyńskiej.

Na ten list p. *Green* nie otrzymał odpowiedzi od p. *Vlieta*, ale nie dlatego, że pułkownik amerykański zbagatelizował sprawę, lecz dlatego, że natrafił na przeszkodę. Mianowicie 28 sierpnia p. *Vliet* skierował pismo do szefa wywiadu w Departamencie Armii i zapytał, czy może udzielić wyjaśnień p. *Greenowi*, ponieważ w swoim czasie otrzymał od gen. *Bissella* surowy rozkaz, aby na temat tego, co widział w Katyniu i co tam stwierdził i co w ogóle o tym sądzi — absolutnie z nikim nie rozmawiał i nikomu nie udzielał informacji.

Na to w dniu 15 września szef wywiadu p. *Ernest A. Barlow* z Departamentu Armii, potwierdzając odbiór listu pułk. *Vlieta*, stwierdza, że rozkaz utrzymania nadal ścisłej tajemnicy służbowej przez niego w tej sprawie obowiązuje bez zmian i jeśli p. *Green* chce w tej sprawie dalej korespondować, winien zwrócić się do Pentagonu, do szefa informacji.

P. *Green* nie dał za wygraną. Na drugi list z daty 12 września otrzymał odpowiedź p. *Vlieta*, że jest on rzeczywiście tym oficerem amerykańskim, który jeździł do Katynia, ale

poza tym nie może udzielać żadnych galszych informacji jako związany służbową tajemnicą.

Tymczasem republikański kongresman p. *Dondero* z *Michigana* wniósł — z inspiracji Komitetu Badania Zbrodni Katyńskiej — żądanie do Departamentu Obrony, aby Departament natychmiast ujawnił raport *Vlieta*.

I tu pękła bomba. Widocznie sprawy nie można było dalej trzymać pod korcem i Departament Obrony w dniu 18 września br. ogłosił memorandum dla prasy, w którym ujawnił zaginięcie dokumentu.

Memorandum stwierdza, że od końca roku 1949 aż do ostatniej chwili z różnych stron zaczęto się zwracać do Departamentu o ujawnienie dokumentu katyńskiego, który znajdował się w rękę władz amerykańskich. Memorandum stwierdza, że w pierwszych odpowiedziach na te żądania ponownie się, utrzymując, że Departament posiada dokument opracowany przez pułk. *Vlieta*. Okazało się bowiem po wysłaniu tych odpowiedzi, że dokument po prostu zniknął.

Kiedy poszukiwania nie dały rezultatu szef informacji Departamentu zwrócił się w dniu 16 kwietnia 1949 do pułk. *Vlieta* o napisanie drugiego raportu. Raport ten z daty 11 maja 1949 r. załączony jest w pełnym brzmieniu do memorandum prasowego. Dodać warto, że autor raportu znajduje się obecnie na Dalekim Wschodzie.

Pomimo odtworzenia raportu sekretarza Armii polecił inspektorowi generalnemu dalsze badanie sprawy zaginionego pierwszego raportu z tym, że jeśli zostanie on odnaleziony, będzie również ujawniony.

Dalsze dochodzenia ujawniły tajemnicę okoliczności. Gen. *Clayton Bissell* twierdzi, że pamięta dobrze, iż polecił wysłać raport pułk. *Vlieta* do gen. *Juliusa C. Holmesa*, ówczesnego (w 1943 r.) zastępcy sekretarza Departamentu Stanu, a obecnie ministra w amerykańskiej ambasadzie w Londynie. Natomiast min. *Holmes* z całą stanowczością twierdzi, że nigdy nie otrzymał takiego dokumentu i nie o nim nie wie.

Co ciekawsze, w aktach Departamentu Stanu i Departamentu Wojsny nie ma żadnych, najmniejszych śladów i dowodów, któreby wskazywały, że raport pułk. *Vlieta* był wysłany do Departamentu Stanu albo że Departament Stanu raport taki otrzymał. Raport zginął zatem prawdopodobnie, zanim wyszedł z Departamentu Wojsny.

Z zeznań pułk. *Vlieta* wynika, że w dniu 22 maja 1945 roku rozmawiał on z gen. *Bissellem* w jego prywatnym biurze w Pentagonie i na temat swojej bytności w Katyniu mówił z nim około 20 minut. Wtedy gen. *Bissell* uznał, że jest to sprawa szczególnej wagi i wezwał swoją cywilną maszynistkę, której polecił wraz z pułk. *Vlietem* udać się do osobnego, zamkniętego pokoju i tam napisać na maszynie raport poddyktowany osobiście przez pułk. *Vlieta*. Maszynistka spała pod dykt zeznanie pułk. *Vlieta*, po czym dano do niego fotografie, które posiadał pułk. *Vliet* w związku z Katyniem; tak sporządzony dokument przeczytał gen. *Bissell*, polecił sam oznaczyć go jako „top secret“ i schować, a potem wysłać do gen. *Holmesa*.

Następnie gen. *Bissell* osobiście poddyktował rozkaz dla pułk. *Vlieta* zabraniający mu na temat jego raportu

tematu w nim zawartego z kimkolwiek rozmawiać bez pisemnego upoważnienia Departamentu Wojsny. Rozkaz ten pułk. *Vliet* potwierdził na miejscu własnym podpisem.

Tyle dowiadujemy się z memorandum ogłoszonego kilka tygodni temu. Drugi raport pułk. *Vlieta* udostępnił już opinii publicznej nie zawiera nic szczególnego, gdyż wszystkie podane w nim opisy czy elementy sprawy Katynia znamy już z innych źródeł. Pułk. *Vliet* — od początku podejrzewając, że sprawa Katynia jest chwytem propagandowym Niemców, usiłujących własną zbrodnię przerzucić na Sowiety — na miejscu zbrodni w Katyniu w 1943 roku doszedł do przekonania, że masowego mordu oficerów polskich dopuścili się nie Niemcy, ale bolszewicy. To przekonanie oficer amerykański powieiera w raporcie swoimi argumentami.

Ważniejsza jednak od raportu pułk. *Vlieta* jest sprawa zaginięcia jego pierwszego oryginalnego raportu. Ta zagadka nie została dotąd wyjaśniona. Wśród osób, które mogły w tej sprawie coś powiedzieć, tajemniczą pozostaje nadal tylko owa maszynistka z biura gen. *Bissella*, która dyktowany raport najpierw pisała, a potem prawdopodobnie ekspediowała do gen. *Holmesa*.

W prasie tutejszej ukazują się żądania, aby rzecz doprowadzić do końca, ponieważ chodzi nie tylko o dokument katyński, ale — być może — w podobny sposób zniknęły również inne, doniosłe dokumenty i tajemnice wojskowe.

Opinia polska będzie śledziła tę sprawę z największym zainteresowaniem, ponieważ wykrycie sprawców zaginięcia raportu pułk. *Vlieta* może dać nową, bogatą dowód, choćby pośredniemu zależało na usuwaniu wszelkich śladów zbrodni katyńskiej. Jest zaś już w ogóle rzeczą bardzo cenną, jeśli można stwierdzić, że długie ręce zbrodniarzy katyńskich sięgnęły nawet do tajnych schowków amerykańskiego generała w samym Pentagonie, aby wykraść i zniszczyć nawet tego rodzaju dokument, jakim jest raport pułk. *Vlieta*.

Przeróbki i odświeżanie futer. Nowe modele futer na składzie. **POLSKI KUŚNIERZ LANGER & CO. (FURRIER) LTD.** 1, NOTTING HILL GATE, LONDON, W. 11. Tel.: BAY 3773. Nowo otwarty **DZIAŁ KRAWIECKI** pod kierownictwem mistrza p. Domba. Sukna pierwszej jakości na składzie. Specjalne ceny eksportowe.

ZBRODNIA KATYŃSKA W ŚWIETLE DOKUMENTÓW. Wydanie drugie znacznie poszerzone i uzupełnione w nowym układzie graficznym — do nabycia w **GRYF PUBLICATIONS LTD.** 169-171, BATTERSEA CHURCH RD, LONDON, S.W. 11 Tel. Battersea 0879. Cena 15/- (Podwyżka ceny poddyktowana została znacznym zwiększeniem objętości i wzrostem cen papieru na rynku).

POLSKA APTEKA M. STANKIEWICZA 74, DEACON STREET, LONDON, S.E. 7. Telefon: ROD 4628. **WŚWELKIE LEKI DO POLSKI** Ceny ściśle katalogowe. STREPTOMYCyna 10 gr. £12.0 P.A.S. 500 tabl. £2.0 Porady bezpłatne.



Z Życia Kombatantów

Na podstawie materiałów nadesłanych przez Wydział Inf.-Pras. Zarządu Głównego SPK

ZMIANY W STATUCIE SPK

O jednym z ministerstw Polski niepodległej powiedziano kiedyś w sejmie, że wije się ciągle w kurczach reorganizacji. Był to zarzut słuszny, ale tylko częściowo. W zasadzie bowiem szukanie lepszych form organizacyjnych jest wskazane. Trzeba tylko, aby zmiany, które w rezultacie następują, były gruntownie przemyślane. Aby nie były za częste.

SPK istnieje zaledwie kilka lat, a statut naszej organizacji zmieniany był już dwa razy. Tym niemniej nie jest to zły objaw.

Statut uchwalano w pośpiechu. Trzeba było — bo tego wymagała ówczesna sytuacja polskich żołnierzy zagranicą — aby jak najprędzej powstała jakaś organizacja ideowa, która by po rozwiązaniu Polskich Sił Zbrojnych zagranicą połączyła na nowo zwolnionych żołnierzy i wszystkich, którzy się wokół naszego wojska skupiali. Nie było wówczas czasu na gruntowne przemyślenie, a szczególnie na wyczerpujące przedyskutowanie przepisów zakładanego w pośpiechu stowarzyszenia.

Toteż już po roku potrzeba zmian stała się oczywista. Przeprowadził je II Walny Zjazd SPK. Dalsze trzy lata prac wykazały, że statut ma luki, że nie ogarnia sytuacji, które powstają albo powstają mogą wskutek specyficznych warunków naszego życia na obczyźnie. I oto mamy obecnie statut w brzmieniu uchwalonym przez III Walny Zjazd SPK.

Statut nazwano statutem głównym dla odróżnienia od statutów oddziałów. Jak statut poprzedni, składa się on z 19 artykułów, podzielonych na VI — tak samo jak i przedtem nazywających się — rozdziałów. Ale pod dawnymi nazwami są częstokroć zmienione lub też zupełnie nowe przepisy.

Omówienie tych zmian i rzeczy nowych jest celem niniejszego artykułu.

Opieka i poradnictwo

Otóż w rozdziale pierwszym (przepisy ogólne) nie ma obecnie wzmianki o „współdziałaniu w organizowaniu akcji osiedleńczej”, jest natomiast nowy punkt, stwierdzający, że do celów SPK należą też: „współdziałanie w rozciąganiu opieki nad członkami niezdolnymi do pracy, inwalidami, nie-

uleczalnie chorymi, starcami, wdowami i sierotami” oraz „poradnictwo i pośrednictwo pracy”. Pożyteczne te a nawet ofiarne obowiązki SPK przyjęło na siebie już dość dawno, to jednak w statucie sprecyzowano je dopiero teraz.

Członkowie i gospodarka

W rozdziale o członkostwie SPK nastąpiły zasadnicze przeobrażenia.

Do trzech kategorii członków: zwyczajni, wspierający i honorowi — dodano kategorię czwartą: członkowie nadzwyczajni. Członkowie rodzin żołnierzy i osób biorących udział w walce o niepodległość, którzy zaliczani byli — na mocy poprzedniego statutu — do kategorii członków zwyczajnych, obecnie mogą być przyjmowani tylko jako członkowie nadzwyczajni. To samo stało się z cywilnymi pracownikami instytucji wojskowych i społeczno-charytatywnych oraz osobami, które pracowały bezpośrednio na rzecz jednostek wojskowych lub żołnierzy PSZ. A członkowie nadzwyczajni — tak samo jak członkowie wspierający oraz honorowi — nie mają czynnego ani biernego prawa, aczkolwiek „mają obowiązki członków zwyczajnych”.

Poprzednio o przyjęciu w poczet członków zwyczajnych decydował zarząd koła jedynie na podstawie deklaracji kandydata. Obecnie — przy rozpatrywaniu kandydatury członka zwyczajnego lub nadzwyczajnego — oprócz deklaracji zarząd może żądać odpowiednich dokumentów. Decydująca jednak jest „opinia własna” zarządu o kandydacie.

Przepis o prawach i obowiązkach członków został uzupełniony postanowieniem, stwierdzającym, że „członkowie SPK nie otrzymują wynagrodzenia z tytułu wykonywanej pracy na rzecz SPK, z wyjątkiem zatrudnionych na podstawie umowy o pracę. Członkowie SPK mogą otrzymywać zwrot kosztów poniesionych w związku z wykonywaniem powierzonych im obowiązków, w wysokości określonej przez kompetentne władze SPK”.

Oddzielny artykuł został poświęcony sprawie zawieszania w prawach członka. W poprzednim statucie była o tym tylko pobieżna wzmianka, obecnie zaś jest przepis, że zawieszenie członka w prawach — jeżeli nie zostało zarządzone z powodu nieusprawiedliwionego zalegania ze składkami — może nastąpić jedynie na wniosek właściwego sądu koleżeńkiego albo dopiero po zatwierdzeniu przez ten sąd decyzji zarządu o zawieszeniu. Zawieszenie członka w prawach nie może trwać dłużej niż trzy miesiące, po czym — jak należy wnioskować, gdyż nie jest to powiedziane w statucie — albo następuje wykluczenie członka z SPK (skreślenie z listy członków), albo przywrócenie mu praw członkowskich.

Wykluczenie członka z SPK należy — jak i poprzednio — do kompetencji sądu koleżeńkiego, który albo sam wydaje orzeczenie o wykluczeniu, albo zatwierdza decyzję zarządu o wykluczeniu, wydaną w wypadkach przestępstwa hańbiącego przez zarząd koła, względnie zarząd ognia wyższego. Od orzeczenia sądu koleżeńkiego koła przysługuje odwołanie do sądu koleżeńkiego oddziału. Od decyzji, wydanej przez zarząd koła lub ognia wyższego, zatwierdzonej przez właściwy sąd — nie ma odwołania!

W rozdziale o strukturze organizacyjnej SPK również przeprowadzono zmiany. Podane są (czego wprawie nie było) wytyczne, na których winna się opierać gospodarka wszystkich ogniw SPK. Odpadł trochę nieprzyjemny przepis poprzedniego statutu, zastrzegający niedopuszczalność podziału majątku likwidowanego ognia organizacyjnego pomiędzy jego członków. Bo też jest to rzecz sama przez się zrozumiała.

Ustalono cenzus czasu do uzyskania

biernego prawa wyborczego. „Do władz koła oraz delegatem na zjazd oddziału” (a ma się rozumieć — i na zjazd okręgu) „może być wybrany członek zwyczajny, należący do SPK co najmniej od trzech miesięcy: do władz oddziału (z wyjątkiem zjazdu oddziału) oraz do władz głównych SPK może być wybrany członek zwyczajny, który jest członkiem SPK co najmniej od roku. Po stanowienie to nie dotyczy nowopowstałych ogniw SPK”. W tym jednak miejscu powstaje pytanie, na które statut główny nie daje odpowiedzi. Ile czasu trzeba być członkiem zwyczajnym SPK — sześć miesięcy czy tylko trzy — aby mieć prawo zostać członkiem zarządu albo komisji rewizyjnej okręgu?

Dodano przepis, na mocy którego członkowie zarządów wszystkich ogniw organizacyjnych mogą otrzymywać ryczałtowo zwrot kosztów, poniesionych z powodu wykonywania stałej pracy na rzecz SPK, o ile wydatki takie przewiduje uchwalony budżet. Natomiast nie powrócono przepisu poprzedniego statutu (art. XVI § 7), który nie zezwalał członkom „rad, zarządów i komisji rewizyjnych” na otrzymywanie „wynagrodzenia z tytułu pełnionej przez nich funkcji we władzach Stowarzyszenia”.

Wreszcie — wprowadzono dopuszczalność wspólnej z Zarządem Głównym gospodarki wódz oddziału, znajdującego się na terenie siedziby władz głównych. Poza tym „Rada Główna może wyodrębnić część majątku SPK na potrzeby tego oddziału”.

Władze główne

Gruntowne przemiany wprowadzono w przepisach o władzach głównych.

Delegatami na walny zjazd SPK mogą być też członkowie afiliowanych organizacji oraz członkowie władz oddziału — bez ograniczenia. Poprzednio delegaci organizacji afiliowanych w ogóle nie mogli brać udziału w walnym zjeździe, a spośród członków władz oddziału najwyższej dwóch mogło być delegatami na walny zjazd.

Zmieniono wymóg prawomocności walnego zjazdu SPK. Teraz walny zjazd może się odbyć już przy obecności delegatów połowy wszystkich oddziałów SPK, reprezentujących co najmniej jedną trzecią ogółu członków SPK.

Uwarunkowano mocniej niż poprzednio zwoływanie nadzwyczajnych walnych zjazdów. Rada Główna musi zwołać nadzwyczajny walny zjazd dopiero wówczas, jeżeli zjazdy co najmniej trzech oddziałów, reprezentujące co najmniej połowę ogółu członków, wystąpią z odpowiednim wnioskiem.

Krócej sprecyzowano kompetencje walnych zjazdów SPK.

Ważną i zapamiętania godną zmianą jest zmiana terminu przedkładania przez poszczególne ognia wniosków na walny zjazd. Poprzednio wystarczało, aby wpłynęły one do Rady Głównnej na 21 dni przed terminem walnego zjazdu. Obecnie walny zjazd może rozpatrywać tylko te wnioski ogniw organizacyjnych, które wpłyną na dwa miesiące przed terminem zjazdu.

Inaczej pomyślano przeprowadzenie tzw. referendum — w wypadku istotnej niemożności zwołania walnego zjazdu — w sprawach, nie cierpiących zwłoki a wchodzących w zakres kompetencji walnego zjazdu. Statut poprzedni przewidywał „referendum” — „na zasadach dotyczących walnego zjazdu SPK”. Statut obecny postanawia, że „Rada Główna ustala sposób przeprowadzenia referendum na zasadzie głosowania przez walne zebrań kół SPK”.

Nawiasem zaznaczyć trzeba, że redakcja przepisu o „referendum” jest obecnie taka, iż niezawodnie powstanie może spór, jak ma się ustalać wyniki głosowania. Czy zliczać tylko uchwały walnych zebrań kół — dla ustalenia,

ile walnych zebrań jest za proponowanym rozwiązaniem danej sprawy, a ile się sprzeciwia temu rozwiązaniu; czy też brać pod uwagę ilość wszystkich głosów z wszystkich walnych zebrań, jakie padły za danym rozwiązaniem, a jakie były przeciw niemu? I dlatego jestem zdania, że Rada Główna — mająca obecnie prawo interpretacji statutu — winna się w tej sprawie wypowiedzieć w czasie jak najkrótszym — zanim powstanie jakakolwiek potrzeba „referendum”.

Zredukowano niemal do połowy liczbę członków Rady Głównej, zmniejszono proporcję zastępców.

Skreślono zupełnie postanowienie o automatycznym pozostawianiu na dalszą kadencję jednej piątej członków Rady (w tym wszystkich członków spółki pn. The Polish Combatants' Association Limited).

Rozszerzono przepis o sposobie uzupełniania składu Rady Głównej (... w razie ustąpienia członka Rady Głównej przed upływem kadencji). Do punktu, stanowiącego, że na opróżnione miejsce wchodzi zastępca, stojący na pierwszym miejscu wg otrzymanej przy wyborach ilości głosów — dodano, iż w przypadku, gdy jest dwóch zastępców, którzy zostali wybrani jednakową liczbą głosów — rozstrzyga losowanie, przeprowadzane przez prezydium Rady Głównej.

Utrudniono decyzje o likwidacji oddziałów SPK, jak również o zawieszaniu uchwał rad lub zarządów oddziałów — wymaganiem kwalifikowanej większości dwóch trzecich głosów.

Natomiast niemiernie ważne decyzje co do zawieszania w czynnościach Zarządu Głównego, zarządów oddziałów lub nawet poszczególnych członków Rady Głównej i Zarządu Głównego względnie odwoływanie tych członków z zajmowanych stanowisk — nie zostały uzależnione od kwalifikowanej większości.

Wprowadzono dopuszczalność zastępstwa jednego członka Rady przez drugiego na posiedzeniach Rady — na podstawie pełnomocnictwa.

Rozszerzono zakres działania Rady Głównej, wyposażając ją w prawo: udzielania absolutorium ustępującemu Zarządowi Głównemu; zatwierdzania rocznych budżetów władz głównych oraz wydawania innych gospodarczych zarządzeń; ustalania podstawowej składki członkowskiej; wypowiedzenia opinii w sprawach ogólnych, mających istotne znaczenie dla całości wychodząstwa polskiego względnie dla ogółu członków SPK; przeprowadzania zmian w strukturze organizacyjnej SPK; powoływania komisji w sprawach, należących do zakresu działania Rady Głównej; zatwierdzania wniosków Zarządu Głównego w sprawie współpracy i powiązań organizacyjnych z polskimi organizacjami kombatanckimi; likwidacji oddziałów SPK; zawieszania uchwał rad lub zarządów oddziałów i wreszcie — rzecz niezmiernie ważna i potrzebna, ze względu na trzyletnie przerwy pomiędzy walnymi zjazdami SPK — prawo interpretacji postanowień statutu głównego.

Idąc po linii redukcji składu władz głównych zmniejszono prawie o połowę liczbę członków Zarządu Głównego — z 11 do 7 — oraz zniesiono stanowisko o nazwie: dyrektor biura centralnego.

Zwiększono natomiast zakres działania Zarządu Głównego upoważniając go: do gospodarowania wszelkim majątkiem SPK (poprzednio mógł gospodarować tylko tym, który był „w dyspozycji władz głównych”), do „przejmowania majątku indywidualnych oddziałów” oraz do „powoływania delegatów Zarządu Głównego w krajach, nie posiadających zorganizowanych ogniw SPK”.

P. C. A. Limited

Zupełnie inaczej zreorganizowano przedsiębiorstwo utworzone według prawa brytyjskiego pn. „The Polish Combatants' Association Limited”. Nazwano je „The Polish Ex-Combatants' Association Limited”, stwierdzając równocześnie, że „za gospodarstwo majątkiem SPK w ramach spółki” ponosi „prawą odpowiedzialność” zarząd tej spółki, a ponadto ustalając, iż zarząd ten składa się z trzech członków Zarządu Głównego: prezesa, wiceprezesa (jak wynika z regulaminu Zarządu Głównego — wiceprezesa do spraw finansowo-gospodarczych) i sekretarza generalnego oraz „na okres prowadzenia wspólnej gospodarki z Oddziałem SPK Wielka Brytania — z dwóch przedstawicieli zarządu tego oddziału”. Ponadto postanowiono, że z chwilą utraty mandatu członka Rady Głównej lub zarządu Oddziału Wielka Brytania — członkowie P. C. A. Ltd. „tracą automatycznie prawo członków spółki P. C. A. Ltd.”. Poprzedni statut mówił o rezygnacji z członkostwa spółki. Poza tym było tam daleko idące postanowienie, że majątek SPK, będący w dyspozycji władz głównych „powierza się” P. C. A. Ltd. W nowym statucie tego przepisu nie ma. Z regulaminu zaś Zarządu Głównego wynika, że Zarząd Główny posługuje się firmą P. C. A. Ltd. w swych stosunkach z władzami brytyjskimi, sądami, kontrahentami itd.

Komisja Rewizyjna, fundusze i afiliacja

Zmniejszono również ilość członków Głównej Komisji Rewizyjnej, ale tylko o dwóch, zwiększono natomiast ilość zastępców z 5 do 9. Oprócz tego dodano punkty zezwalające Głównej Komisji Rewizyjnej na wykonywanie kontroli nie tylko w zespołach, lecz też przy pomocy „poszczególnych swych członków”, a nawet na korzystanie „z usług biegłych”. Poza tym ustanowiono quorum i sposób głosowania tej komisji, czego przedtem w statucie nie było.

Poprzednio statut nakazywał tworzenie trzech funduszy: zakładowego, zapasowego i gwarancyjnego. Obecnie skasowano fundusz gwarancyjny, wobec czego odpadł przepis regulujący postępowanie z tym funduszem. Zmodyfikowano też postanowienie o sposobie tworzenia funduszu zakładowego i zapasowego.

W postanowieniach końcowych rozwinęto przepis o afiliacji, wymieniając, co powinna zawierać umowa o afiliacji. Zniesiono natomiast „przepisy przejściowe i wprowadzające”, zawarte w artykule ostatnim poprzedniego statutu.

Jak widzimy zmiany wprowadzono sporo, ale są to zmiany istotne i — niezawodnie — potrzebne.

Józef Jastrzębski

NOWOŚĆ!

„TEATR AMATORSKI” — Materiały oświatowe SPK — (zbiór artykułów, wskazówek i rad jak urządzić przedstawienie) — 4/— „BIBLIOTEKAZKA TEATRALNA Polskiej Y.M.C.A. i SPK” — (utwory sceniczne dla małych zespołów): A. Fredro: „Pierwsza lepsza” — 1/3, W. Budzyski: „Kelnery” — 2/—, T. Lisiewicz: „Dwa ognia” — 1/6, N. Sadek: „Kwatera nad Adriatykiem” — 2/—
Do nabycia:
W W. Brytanii: Centralna Składnica Książek SPK — 57, Edbrooke Road, London, W. 9, wszystkie księgarnie i kioski polskie.
W Belgii: SPK — 32, rue de l'Arbre Benit, Bruxelles. We Francji: „Libella” — 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV. W Niemczech: Księgarnia SPK — Hoexter, Hove Barracks, oraz „Universum” — Heilbronn. W Szwecji: SPK — Stockholm. W Argentynie: J. Miecznikowski, T. Dąbrowski: „Składnica Książki Polskiej” — Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. W Kanadzie: H. R. Radomski — 83, Front Street, E. Toronto, Ont. W Australii: „Vistula” Pty Ltd. — 77, Pitt Street, Sydney.
W Afryce Południowej: Union of Polish Settlers in South Africa — 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg.

KALENDARZYK na 1951 rok



Nieodstępny przyjaciel każdego zawiera wiele cennych informacji i adresów z całego świata

Cena 4/— plus 3 d. na przesyłkę. **CENTRALA HANDLOWA SPK** 57, EDBROOKE ROAD, LONDON, W. 9.

„MATERIAŁY OŚWIATOWE SPK”

Do nabycia w księgarniach w Wielkiej Brytanii, Belgii, Francji, Niemczech, Szwecji, Argentynie, Kanadzie, Australii i Afryce

Przydatne w pracy oświatowej i teatralnej stowarzyszeń i szkół polskich oraz dla lektury prywatnej

Zapoznaj się z nimi — Ceny przystępne

Skład główny:

CENTRALA HANDLOWA SPK
57, EDBROOKE ROAD, LONDON, W. 9

— Przychodzę od Gabriela — powiedziała Krystyna, spoglądając wymownie na Marię.
— Jak to? A Olga?
Krysta milczała dłuższą chwilę.
— Pan wybacz — rzekła wreszcie — wolałabym... — Raz jeszcze musnęła wzrokiem Krzyńską.
— O, przepraszam — Marek dopiero teraz zorientował się o co chodzi. — Panie się nie znają? — spojrzał na Marię, szukając w pamięci jakiegoś możliwego nazwiska. Wyręczyła go:
— Kontecka — powiedziała dobitnie, podając rękę Krystynie.
— ... ińska — bąknęła Krysta: zjadła zresztą pierwsze sylaby.
— Może pani mówić swobodnie — rzekł Korda. — Pani Kontecka należy do roboty. Co z Olgą?
— Skończona. Mnie przesunięto na jej miejsce.
Krótkie milczenie skwitowało wiadomość: strata — nie pierwsza, nie ostatnia; bezimienna — Marek nie znał nawet jej prawdziwego nazwiska.
— Słucham. Z czym pani przychodzi? — zapytał bardzo służbowo: był już dowódcą plutonu.
— Jutro przejmie pan służbę. Godzina 16-sta, u Franka — dziewczyna wpadała też w ton urzędowy. — Czy ma pan fotografię na nowe dokumenty? Jakiej pan chce nazwisko?
„Baryka“ — chciał powiedzieć Marek: lubił bardzo „Przedwiośnie“. Ugryzł się w język.
— Bo ja wiem? — zastanawiał się chwilę. — Nowak, po prostu Nowak. Krzysztof — dodał, czyniąc koncesję na rzecz swych literackich sympatii.
Dziewczyna zapisała w notiesie najnowszego „Nowaka“.
— Zawód? — spytała, trzymając okówek w pogotowiu.
— Handlowiec, oczywiście. Resztę niech wstawia jak im się podoba. Ale z fotografią jest gorzej — nie mam chwilowo żadnej... Jest jakaś u Brutusa — dorzucił po namyśle.
— Doskonale, muszę być dziś u niego. To chyba wszystko.
Wstała, by się pożegnać. Nie miała ochoty siedzieć tu dłużej: „wydra“ działała jej na nerwy.
— Chwilęczkę, panno Krzysiu — powstrzymał ją Korda. — Trzeba zrobić papiery także dla pani Ewy — zmienił na poczekał Krzyńskiej według swojego gustu.
— Nie mam tu fotografii — przerwała Maria, spoglądając na Marka karcącym wzrokiem. — Nie pali się. Dam panu przed odprawą.

ROZDZIAŁ XI.

Wieczór. Marek siedzi w fotelu, nie zapalając lampy. Nogi wyciągnął wygodnie na przysunięte krzesło. Odpoczywa, czeka. Za chwilę wejdzie Maria, pogłaska go po głowie. „Uśmiechnie się, czy nie uśmiechnie?“ — myśli. Boi się warg zacienionych, zdań krótkich i zbyt rzeczowych, nie cierpi pionowej zmarszczki ścigającej brwi kłamrą napiętego myślenia.
Słodki sierpniowy zapach niesie się od ogrodu poprzez otwarte okno. Resztką szarej godziny ulatuje w objęcia nocy. Marek zamknął powieki. Na dnie oka powrotna fala przeżytych dziś wydarzeń: strzępy ważnej rozmowy (z Barnabą z „Filtrow“ — o Kampinosie — trzydniowe ćwiczenia z bronią: ucieszą się chłopaki), odprawa z instruktorami ministerstwa (ten nowy, z dziobatą gębą coś za bardzo ostrożny — osłony mu się zachciewają!), raport o wykonaniu wyroku (Konrad jest dobry: co za flegma, co za wścieczony humor). Plan dnia na jutro prosty: robota na torze kolejowym za Skierniewicami, w lasach. Znowu będzie wzmianka w Biuletynie — Marek uśmiecha się chępliwie do tej przyjemnej myśli. Lubi czytać o swych wyczynach — choćby parę słów, choćby mała notatka, nazwa miejscowości, suche cyfry: „W odwet za terror okupanta zniszczono drogi komunikacji... straty niepla...“
Korda nie ma powodu wstydzić się swoich robót. Przez te półtora miesiąca od czasu objęcia plutonu zrobiło się to i owo: trzy kursy doszkoleniowie — minerski, saperski i dywersyjny — bez żadnych wpadek przy lekcjach i transportach pokazowego sprzętu, dwie duże roboty w terenie — na transport wojska i na pociąg z amunicją, kilka osłon przy spotkaniach i dla grupy radio, ze sześć, czy siedem wyroków... Wcale ładne wyniki.

JANUSZ JASIEŃCZYK

Walter 7,65
POWIEŚĆ

„I żyje się jako tako“ — myśli leniwie Marek. — Może nawet za dobrze. Oddaje wprawdzie Marii dwie trzecie swojej gaży na wspólne utrzymanie, ale... To doskonałe jedzenie — szynki, drób, drogie francuskie konserwy, prowansalskie sałatki — to wszystko musi kosztować więcej. A picie? Nie ma przecież dnia, a raczej nocy, by nie strzelały korki. Już pytał Marii skąd bierze się to wszystko. Powiedziała, że jest zamożna z domu, że korzystnie sprzedawała klejnoty, że ma jakiś kapital.
„Mniejsza z tym, na pewno nie kradnie“ — konkluduje Korda, nieufny konspirator, bezkrytyczny kochanek. „Byle tylko nie wpadła i nie spóźniła się znowu“.
Nagle niepokój podrywa młodego człowieka ze słodkiego *far niente*. Zapuszcza gęste story, zapala lampę: psiakrew, już w pół do dziesiątej, już ruszyły patroli.
Ciężko jest czekać na świat swój własny — w krwawym warszawskim świecie. Daleki strzał od strony lotniska, szum pędzącego auta w Alei Niepodległości i cisza, zbyt długa cisza — to wszystko powraca echem, niespokojnym obrazem, skurczem nagłego strachu. Trzeszczą wiązania normalnej samokontroli, wyobraźnia — wróg odważnych — zaczyna płatać figle: „może wpadła na punkcie z bronią, może ten dureń Brutus zaciągnął ją do knajpy?“ — Nie, prawda, miała być u Janusza...
„A może“ — perswadowuje rozsadek — „może po prostu nocuje u tej znajomej? — no, jakże jej? — Klara. — Tak, to całkiem możliwe — powiedziała przecież podczas ostatniej scysji, że sypia czasem u Klary, ona ma wolny pokój...“
Inna rzecz, że nigdy nie widział Klary, nie zna jej adresu, ani przydziału. Marek zaczyna się złościć. Wielkimi krokami przemierza pokój: pięć kroków od drzwi do okna po puszystym dywanie — przystanek, nasłuchiwanie — znowu pięć kroków do drzwi, zwrot — i tak w kółko. Zawadzają mu meble, drażni go pięknie zasłany tapczan. Wścieka się, kopie krzesło. Podnosi je zaraz, stawia ostrożnie pod ścianą — spokojniejszy trochę i z lekka zawstydzony.
Zegar w stolowym zaczął swoje rachunki melodyjnym, głębokim tonem: dziesiąta. Znowu cisza — niespokojna, nie dzwoniąca w uszach, kłująca raczej nerwy milionem ostrych szpilek. Korda czeka: jeden mały dźwięk może się zmienić w dotyk kojącej dłoni, w uśmiech, w nagłą pieszczotę. Staje przy drzwiach do hallu. Słucha.
Jest, jest wreszcie: zgrzyt klucza w zamku, stuknięcie wyłącznika, światło.
— Mario! Już po dziesiątej! Czemu się znowu spóźniaasz?!
„O, będzie awantura, ja jej dzisiaj pokażę!“ Młody człowiek nie rusza się z miejsca, nie idzie na spotkanie, nie przyjmuje zarzutki: nastawia się, nadyma — bezzmiar ulgi chce zastąpić sztucznym ciśnieniem gniewu.
— Dzieciaku — mówi Maria, biorąc Marka w ramiona. Lekkie szarpnięcie sprzeciwu, drugie mocniejsze — i beznadziejnie: tak ryba szamocąc się na przynięcie, głębiej wbijając haczyk. Zapach ten zapach, uścisk, gorący pocałunek.
— Gdzie była? — spytał Korda, gdy siedli do kolacji.
Uśmiech — łagodny, przekorny trochę i tajemniczy. Te uśmiechy rozbrajają Marka. Nie może się im oprzeć, zwłaszcza od czasu, gdy Maria obcięła krótko włosy, odmładzając swój wygląd — w życiu i na fotografii w fałszywej kenkarcie. Nikt by nie poznał w łączniczkę Ewie — Marii Krzyńskiej, skazanej na śmierć przez Sąd Specjalny.
— Pan porucznik nic nie wie? — mówi Ewa, czy Maria — Obieciałam dziś pół Warszawy. Jutrzejszy kurs dla trzeciej sekcji — to mało? A papiery dla Smoka? Hubert zmienił melinę, musiałam go szukać na Pradze.
— A zresztą — zakończyła poważnie — znasz przecież regulamin: nie musisz i nie możesz wiedzieć o wszystkim. Mam także

(15) kontakty z górą. I niepotrzebnie się boisz o mnie — zawsze dam sobie radę.

Wrzesień. Długi skwer na Ursynowskiej się na ulicę pierwsze fale jesiennych liści: czerwonych, złotych, brunatnych. Marek nie widzi niesionych wiatrem kolorystycznych akordów. Jest zły. Właśnie na niego musiała spaść ta przylupia robota.

Chętnie wyładowałyby niehumor na kroczącego obok Brutusa, ale nie ma pretekstu: chłopak nie spóźnił się dziś na spotkanie, przeciwnie: czekał w składzie desek pewnie kwadrans na niego.
— Ty, uważaj — zaczyna opryskliwie — wyjaśnię ci zadanie. — Dyrektor teatru „Kalejdoskop“ szantażowany jest przez bandytów. Dotychczas płacił — wymusili z niego poważną sumę. Ostatnio zwrócił się do naszych władz — ma jakieś kontakty z górą.
— Się wi, że to protekcja — wtrącił się Brutus. — Może popił z którymś z „Sztuki“, forsy musi mieć dosyć.
— Nie mądrzyć się — przerwał Marek. — Popił, nie popił — nie ważne. Teraz idziemy do niego. Bandyci przyjdą o 4-ej. — Spojrzał na zegarek: — Mamy czas, poczekamy tam na nich. Nie wyrwyj się pierwszy, ja sobie z nimi pogadam. I nie strzelaj, jeśli sami nie zaczną — może się uda na sucho. To tutaj — dodał, dostrzegając numer posesji.
Weszli do eleganckiej willi. Czekal na nich mężczyzna może pięćdziesięcioletni, dobrze odżywiony, o wygolonej, nalanej twarzy. Oczy latały mu niespokojnie w oczodołach podrysowanych troską. Opanował się trochę, gdy Marek wymienił umowne hasło.

Korda rozejrzał się po mieszkaniu. W gabinecie, do którego wchodziło się z hallu przez mocne drzwi, wydal dyspozycje:
— Wprowadź ich pan tutaj. Usiądźcie pan z biurkiem. My staniemy za drzwiami i za tą szafą, aby nie widzieli nas, wchodząc.
— Tylko nie strzelajcie, panowie — prosił dyrektor. — Uczynił szeroki gest ręką: — Meble, obrazy. No i huk może ściągnąć policje.
— Zobaczymy, zobaczymy, zrobi się co będzie trzeba — rzekł wymijająco Marek. — Jak z sąsiedztwem? Czy jest kto w domu prócz pana?

— Nie, rodzinę wysłałem na wieś. Sąsiedztwo spokojne, Polacy, ale się mogą nastraszyć...
— Zostaw pan nam tę robotę. Szklanka wody przyda się panu — nerwy nawałają, jak widzę — rzekł niecierpliwie Korda.
Amator spokojnej i bezgłośniejszej ochrony spojrzal markotnie na bojowców, a potem na zegarek. Szczęśliwa myśl zaświtała mu widać w głowie, bo długo patrzył na swoje buty, ważąc następne zdanie.
— Jest sporo czasu — powiedział wreszcie. — Może panowie pozwolą na chwilę do stolowego — mam wcale niezłą wódkę. Pili na drugą nogę, gdy zabrzmiął ostry dzwonek. W parę sekund chłopcy byli na stanowiskach.
Otwieranie drzwi od ulicy, kroki w hallu — zresztą milczenie.
— Proszę, panowie pozwolą do gabinetu.
Weszli. Zdenerwowany dyrektor uskokczył — trochę za szybko — za szaniec ciężkiego biurka. Sięgnął po papierosy.
Tamci stali: dla Marka i Brutusa bezimiennie sylwetki nie warte dziesięciu złotych; może za chwilę trupy.
Korda zamknął drzwi i przekreślił klucz w zamku. Brutus wyszedł za szafy, wsuwając rękę pod marynarkę.
Bandyci odwrócili się sprawnie, równo, jakby na jednym sznurku. Dwie młode twarze, szarawe, dosyć zmięte — jedna całkiem nie głupia, druga z zadartym nosem — gapiowata i tępa. Obie wpatrzyły się w Marka, mrugając powiekami: nie ze strachu i nie z radości. Ręce trzymali opuszczone wzdłuż ciała, nie zdradzając wrogich zamiarów.
Marek poznał starych znajomych.
— Panie dyrektorze — zwrócił się do bladego klienta — proszę zostawić nas samych. Ty wyjdiesz także — dodał w stronę Brutusa. — Nie tędy: tamtymi drzwiami.

(d. c. n.)

(World copyright reserved)

KULTURA Nr. 12/38

Ukazał się nowy numer największego polskiego miesięcznika literacko-kulturalnego na obczyźnie, zawierający bogaty wybór szkiców, opowiadań i sprawozdań najwybitniejszych autorów polskich i obcych.

Numer zawiera:

K. BRZÓSKA — Sytuacja gospodarza Polski. K. A. JELEŃSKI — Apokalipsa i perspektywa. M. SAMBOR — Na marginesie literatury emigracyjnej. J. CZAPSKI — Czarna lusterko. P. HOSTOWIEC — Monsieur Chlewski. W. WEINTRAUB — Marx, Palmerston i sprawa polska. W. LEDOCHOWSKI — Podróż inspekcyjna do Kurumanu. A. PATON — Plac, kraju umiłowany. J. MIEROSZEWSKI — List z Wyspy. J. MONNEROT — Zmierzch socjalizmu. Z. MAŁECKI — Odbronżona Szwajcaria. J. KO-WALSKI — Reforma pieniężna w Polsce. Z. CHAŁKO — Nie łatwo byc ambasadorem. M. WANKOWICZ — Spory o monopol. J. URSYN — „Moir“ R. LANTIER — Prehistoria Polski. W. A. ZBYSZEWSKI — Człowiek, który umarł za późno. J. ŁOBODOWSKI — przekłady poezji św. Jana od Krzyża. KRONIKA EMIGRACYJNA i inn.

Książka polska to Twój przyjaciel!



Spółka Wydawniczo-Księgarska **GRYF PUBLICATIONS LTD.**
169-171, BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON, S.W.11.
Telefon BATTERSEA 0879

poleca wybór książek polskich i obcych. Dostarczamy książki pocztą odwrotnie bez doliczania kosztów porta przy zamówieniach indywidualnych.

SPECJALNOŚĆ **HANDEL EKSPORTOWY**
Wydawcy największego na emigracji tygodnika polityczno-kulturalnego „ORZEŁ BIAŁY“ i przedstawicielstwo miesięcznika „KULTURA“.

Pasjonujące sprawy rozwiązują dziś nowocześnie poeci w Kraju. Na przykład: czy księżyc jest bumelantem? Okazuje się że nie. Oddychamy z ulgą. Poeta Marek Antoni Wasilewski stwierdza stanowczo, że księżyc nie jest bumelantem, tylko srebrnym kominiarzem, a zatem — klasowo uświadomionym robotnikiem wypełniającym normy i nadnormy.
... Nad nami pozytywny księżyc Srebrny kominiarz, nie bumelant — Poświata ciemność przezwycięża I swego blasku nam udziela.
Tak powiada poeta Marek Antoni Wasilewski, pisujący poważnie w katolickim „Tygodniku Powszechnym“ i w „Dziś i Jutro“. Wiersz romantyczny i dekadencko zattytułowany: „Przechadzka“ („Dziś i Jutro“ nr. 42) zawiera jeszcze szereg innych stanowczych twierdzeń i odkryć młodego poety. Dowiadujemy się bowiem, że „słońce — przodownik kalorii i pracy“ a „klosy rosną jak pokoju obrońcy“.
Pasma błękitu jak traktor Chmur zgromadzenie orze I cóż jest piękniejsze ponadto.

Czy księżyc jest bumelantem?

Ponad wstającą zorzę?
Ta „wstająca zorza“ — zupełnie niepotrzebna. Dekadencko-romantyczna naleciałość. Jak już orać to „zgromadzenie“ — to bez wstającej zorzy.
Poeta przechadza się dałej. Ogłada w zadumie „buraków czerwone wojsko — armię tej ziemi jedyną“.
Dalej stawy — wkopane akwaria Błyszają złotem karpi.
I pomyśleć, że dziś proletariát Karpami może się karmić!
Może się karmić, tylko czy chce? A może wolały trochę więcej chleba do tych karpi.
Czas już wracać do domu, bowiem: ... wietrzyk nad pegeerem Odgwiździe wieczorną normę. Zdziwiony, że poła szczere Pšenicą obsiał rolnik.
Zdziwiony? — o, niedobrze. Nie należy się dziwić. To niebezpieczne odchylenie. Wiele takich, co się tak niewinnie dziwiło zniknęło już z powierzchni życia. Ostrożnie ze zdziwieniem, poeto. Lepiej zakończyć tę przechadzkę. Można jeszcze popatrzyć...
... w rój gwiazd wlepionych w nieba atlas,

Skąd świecą, bo ich czas już nadszedł, Spółdzielnie produkcyjne światła. Końcowy akcent jest zdrowy i poważny. Wdzięczne spółdzielnie produkcyjne na firmamencie niebieskim przesyłają młodemu poecie spontaniczne uśmiechy.
Inteligentny czytelnik mógłby ten uroczy wiersz poczytać za niewątpliwie udaną parodię. Nie ludźmy się. To rzeczywistość, o której poeta Wasilewski (Marek Antoni) twierdzi, że „nieprzejednane ma walory“. W tym systemie myślenia nie ma miejsca na dowcipy. Chyba, że na kongresie pokoju w Warszawie, jakiś zabłąkany prelegent zaczyna przemawiać językiem naprawdę pacyfistycznym. Wtedy sala wybucha huraganowym śmiechem i wesołość trwa do rana.
Nie natrząsam się jednak zbyt niu nad młodym poetą. Należy mu współczuć. Nie jest on grafomanem na pewno. Zawiesza tylko swoją poetyczną wyobraźnię na kratach, w których zamknięta jest dziś cała Polska. I wisi na nich, aż do uduszenia. By już nigdy nie ujrzeć prawdziwych gwiazd.
Jan Olechowski.

Zima nadchodzi pomóż rodzinie w kraju! **Wartościowe paczki** z materiałami na ubrania, kostiumy lub płaszcze, obuwiem, pończochami nylonowymi i wiecznymi piórami oraz klinami spadochronowymi wysyłają szybko, tanio i pewnie



CENTRALA HANDLOWA S. P. K.
57, EDBROOKE ROAD, LONDON, W.9.
LUB JEJ
SKLEP W DOMU KOMBATANTA
18, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7

Stalin prowadzi wojnę pelzającą

(Wydarzenia i uwagi)

W przeciwieństwie do Hitlera, który zastosował Blitzkrieg — wojnę błyskawiczną — zaczynaną z hałasem i prowadzoną tak, by wywołać jak największe wrażenie dramatyczne, Stalin prowadzi swą wojnę przeciw Zachodowi w żółwym tempie. Stalinowska taktyka nie drugoczoje z trzaskiem obronnych murów Zachodu, lecz podmywa je od fundamentów i przesacza się przez nie jak woda. Nie budząc obrońców ze snu. Stalinowska wojna tym się jeszcze różni od hitlerowskiej, że nie wybuchła ona w żadnym określonym miejsku świata tylko rozpełza się powoli po całej kuli ziemskiej. W wyniku tej taktyki świat zachodni nie uznawał dotychczas samego istnienia wojny i dopiero teraz zaczyna mieć co do tego wątpliwości.

Dzisiejsza polityka ma wszelkie cechy wojny, a działania wojenne mają cechy polityki. Podróż Attlee do Waszyngtonu oznaczała nawiązanie łączności między dwiema armiami, walczącymi dotychczas przeciw jednemu przeciwnikowi, lecz przeważnie na własną rękę. Niebezpieczeństwo wbiaja przez nieprzyjacielą kłina między te rozdzielone armie skłoniło dowódców do nawiązania łączności i bardziej uzgodnionego działania. Obecnie Rosja wystosowała notę do Francji i Wielkiej Brytanii, zarzucając im, że zbrojenie zachodnich Niemiec jest naruszeniem traktatów zawartych między tymi krajami a Rosją. Osobno Rosja zwróciła się do Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii z żądaniem oddania pod sąd cesarza japońskiego jako przestępcę wojennego.

PREWENCYJNA OFENSYWA ROSJI

Pierwsze dwie noty są posunięciem, które można nazwać prewencyjną ofensywą. W przedświątecznym tygodniu zebrała się bowiem w Brukseli Rada Atlantycka, mając na celu ostateczne rozstrzygnięcia sprawy niemieckich sił zbrojnych według planu francuskiego, a więc formowania brygad, włączonych do innych narodowych dywizji. Rosja chce udaremnić tę konferencję, czyli rozbić zachodnią koncentrację sił, grając na francuskim strachu, że zbrojenie Niemiec może spowodować zbrojną akcję ze strony sowieckiej. Ciekawe jest i znaczące, że Rosja nie powołuje się w danym wypadku na układy w Poczdamie i Jałcie. Zwracając się w sprawie zbrojenia Niemiec tylko do W. Brytanii i Francji, z pominięciem St. Zjedn., Rosja powołuje się na traktaty „sojuszu i przyjaźni“ zawarte najpierw z Wielką Brytanią, z jej inicjatywy, jeszcze w czasie wojny, a z Francją już po wojnie, za czasów rządu de Gaulle'a. Traktaty te nie miały praktycznego znaczenia, dziś mają w sensie ujemnym, bo wypowiedzenie ich przez Rosję wywołałoby niewątpliwie przynębiający wpływ na brytyjską, a zwłaszcza francuską publiczność. Nota druga — dotycząca oddania pod sąd japońskiego cesarza — ma na celu postraszyć Japonię, która i tak jest zaniepokojona amerykańskimi niepowodzeniami na Korei. Ta nota wiąże się z odrzuceniem przez komunistyczne Chiny wezwania ONZ do wstrzymania działań wojennych na Korei. Wskazuje ona, że celem chińskich działań na Korei jest Japonia, a nie sprawa paru elektrowni wodnych na rzecze Jalu, jak usiłowali niektórzy naiwni europejscy politycy.

STAN ZAGROZENIA W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Sowieckie manewry, zmierzające do wbiacia kłina między W. Brytanię a Stany Zjednoczone zostały na razie pokrzyżowane przez wizytę Attlee. „The Economist“ powiada, że wizyta przyczyniła do jedności między szefami rządów ale między społeczeństwami obu krajów istnieje nadal głębokie różnice, a wiadomo, że komunistyczna propagan-

da gra bezpośrednio na opinie publicznej, która ze swojej strony odciąża rząd. Jednak i pod tym względem deklaracja Truman — Attlee wywarła dodatni wpływ, uciśnięcie nieco antybrytyjskich pryncypów w St. Zjedn. i antyamerykańskich lewicowców w W. Brytanii. Ponięciem, zmierzającym do poprawy brytyjsko-amerykańskich stosunków jest, wbrew pozorom, zawieszenie pomocy z tytułu Planu Marshalla dla W. Brytanii. Zawieszenie to jest uzasadnione tym, że W. Brytanii nie ma dziś deficytu w obrotach gospodarczych ze światem, a nawet ma nadwyżkę. Ustanie amerykańskiej pomocy gospodarczej, jako już niepotrzebnej, podnosi prestiż Wielkiej Brytanii w oczach całego świata i własnych. Utrzymując sojusz ze St. Zjedn. społeczeństwo brytyjskie nie będzie teraz miało poczucia zależności od nich. Brytyjska pomoc w tym sojuszu nabierze charakteru równości z amerykańskim partnerem w odróżnieniu od innych państw Paktu Atlantyckiego. Opinia francuska wypowiedziała swą zazdrość z tego powodu.

Zaznaczyć należy, że zawieszenie pomocy na cele gospodarcze, nie przesądza sprawy pomocy na zbrojenia. Raczej przeciwnie — uzyskanie amerykańskiej pomocy na zbrojenia staje się łatwiejsze i bliższe. Deklaracja Truman — Attlee zapowiedziała wzrost zbrojeni obu krajów. Truman już ogłosił „stan zagrożenia“, który daje mu szerokie pełnomocnictwa w zakresie kierowania gospodarką. Równocześnie zapowiedział zwiększenie wytworzenia samolotów pięciokrotnie, wozów bojowych czterokrotnie i elektronicznego wyposażenia wojennego — czterech i pół krotnie. Liczebność sił zbrojnych ma być podniesiona o dalszy milion — do 3,5 miliona ludzi. W sumie gospodarka St. Zjedn. zostanie przestawiona na tor wojenny w tym stopniu, w jakim ona była w 1942 roku. Należy teraz oczekiwać, że W. Brytanii przystąpi ze swojej strony do wykonania tego punktu wspólnej deklaracji.

ODWRÓT NA KOREI

Konsolidacja amerykańsko-brytyjskiego sojuszu jest jedną jasną plamą na ciemnym tle obecnej sytuacji. Odwrót amerykański na Korei wzbudził obecnie równie silną falę strachu i defetyzmu, jak niedawne powodzenie wzbudziło nadzieje, a nawet wojowniczość. W Zachodniej Europie załamano się nastroje znajduje wyraz we francuskiej i niemieckiej niechęci do zbrojeń, a na terenie ONZ — w dążeniu wielu państw do „appeasementu“, względnie ponownego szukania neutralności. Brygadier Maclean, który objechał Balkany i Środkowy Wschód, powiedział w czasie rozprawy w brytyjskim parlamencie, że Persja, Turcja, Grecja i Jugosławia patrzą w stronę Korei i jeżeli akcja ONZ ponieśie tam klęskę, państwa te będą kapitulowały przed Rosją jedno po drugim.

Co się tyczy Dalekiego Wschodu, to amerykańscy publicyści piszą, że chińscy komuniści pałają żądzą wyparcia wszystkich białych z Azji. Niektórzy korespondenci przewidują chińskie uderzenie na Indochiny w niedługim czasie, a nawet spodziewają się, że sama Rosja ruszy do bezpośredniego działania na wosnę. Oblicza się przy tym, że lotnictwo sowieckie na Dalekim Wschodzie jest liczebnie silniejsze od amerykańskiego, stacjonowanego na wyspach japońskich. Nastroje japońskie znacznie się pogorszyły i zaufanie do amerykańskiej zdolności obrony Japonii przed rosyjskim lub chińskim najazdem — poważnie osłabło. Ponadto są tam zrozumiałe obawy przed użyciem bomby atomowej przez Rosję.

Anglosaskim sojusznikom zagraża przeto odosobnienie. Pokonanie kryzysu zaufania między nimi samymi jest w tych warunkach nakazem instynktu samozachowawczego dla obu krajów i podstawą do utrzymania w charakterze sojuszników na wypadek wojny z Rosją przynajmniej części tych krajów, które chętnie przystąpiły do zachodniego obozu wtedy, gdy królowała koncepcja „wstrzymywania“ Rosji bez wojny.

GRÓZBA ODOSONBIENIA

Przyczyna grożącego anglosaskim mocarstwom odosobnienia nie leży w samej tylko słabości militarnej, ujawnionej w Korei. Sięga ona daleko w historię. Narody pamiętają znaną zasadę polityczną opuszczania sojuszników po wygranej wojnie. Znamienne jest, że w obecnej chwili nawet we francuskiej prasie spotyka się potępienie układu jałtańskiego, ponieważ u-

czynił on zachodnią Europę bezbronną. Niemcy powiadają, że nie chcą służyć pod rozkazami Eisenhowera, bo oni dobrowolnie i rozmyslnie oddali Rosji Berlin, Pragę i Wiedeń, wycofując w r. 1945 wojska amerykańskie przed okupującymi wojskami sowieckimi. „Wyzwalanie“ Korei, gdzie walki przetrzymują się przez kraj tam i z powrotem, zostawiając za sobą ruiny i zgłiszczają, wywołuje powszechnie strach przed takimże losom. Kryzys zaufania wewnątrz zachodniego obozu jest więc powszechny. Hiszpania, która mogła być cennym sojusznikiem, gdyby zawnasza została wzmocniona gospodarczo, była postawiona poza nawiasem zachodniego obozu ze względu na „ideologicznych“

Oba mocarstwa anglosaskie zwolują teraz swoje polityczne rodziny, by mocniej scementować oboz zachodni. W Brukseli odbywa się w chwili, gdy piszemy, posiedzenie Rady Atlantyckiej, w styczniu zbiorą się premierzy państw Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, a St. Zjedn. zwołują na naradę wszystkie republiki amerykańskie. Za-

mierzone wojskowe i polityczne przygotowania zajmą sporo czasu.

Churchill ponownie wypowiedział nadzieje, że strach przed atomową bombą powstrzyma jeszcze Rosję czas jakiś przed atakiem na bezbronną Europę i że ta zwłoka pozwoli stworzyć do końca 1951 roku kilkadziesiąt dywizji. Notowaliśmy, jednak, już poprzednio, że Rosja się chwali, iż jej propaganda sparaliżowała Zachód, który się nie zdecydował na użycie atomowej bomby. Zresztą, Rosja może nadal nie działać sama i skierować przeciw Zachodnim Niemcom Niemcy Wschodnie oraz Rokossowskiego na czele wojsk polskich. Takie obawy są wypowiadane przez zachodnio-niemieckich polityków.

Powstanie tego rodzaju sytuacji byłoby najbardziej niebezpieczne dla naszego kraju, a równocześnie niesłychanie drażliwe i krepujące dla Zachodu. Gdyby St. Zjedn. zareagowały w podobnym wypadku atakiem atomowym na Rosję, to byłyby one wtedy wedle wszelkich widocznych pozorów napastnikiem w stosunku do Rosji. Propagandowo byłoby to dla Rosji bardzo korzystne, lecz czy propagandowo korzystnie przeważałyby militarne skutki ataku atomowego — to wielkie pytanie.

(S. K.)

GEN. ANDERS GORĄCO WITANY W BELGII FIASKO AGITACJI KOMUNISTYCZNEJ

Bruksela, 18 grudnia 1950.

„Prawdziwa Polska — Polska gen. Andersa pozostała — mimo okupacji sowieckiej kraju — szczególnie żywa i gotowa do wszelkich poświęceń dla odzyskania niepodległości. Oto istotne źródło wściekłości komunistów wobec osoby gen. Andersa w Belgii“.

Trafny ten głos dziennika brukselskiego „La Lanterne“, jeden z niezliczonych głosów prasy belgijskiej, ogromnie żywo i przyjaźnie reagującej, stanowi doskonałe wprowadzenie w warunki, w których nastąpiła i przeprowadzona została wizyta gen. Andersa w Belgii.

Przyjazd gen. Andersa do Belgii poprzedziła gwałtowna i nie przeterminująca w środkach i argumentach agitacja komunistyczna. „Le Drapeau Rouge“, organ belgijskiej partii komunistycznej groził i ostrzegał, „masami pracującymi“, które miały przedsięwziąć „zbrodniarstwo wojenne“... Rozrzucone zostały w tysiącach egzemplarzy ulotki polskie i francuskie, pełne plugawych oszczerstw, niektóre anonimowe, inne podpisane przez „weteranów“, działających pod opieką władz warszawskich. Cała ta akcja, wymierzona poprzez osobę gen. Andersa w tę właśnie, niezwalczoną prawdziwą Polskę spełniła na niczym i zakończyła się bankrutem.

Wszystkie przewidziane w ramach tygodniowego pobytu wystąpienia generała Andersa odbyły się normalnie, składając się w sumie na piękną, najpiękniejszą chyba dotychczas w Belgii masową manifestację polskości tych wszystkich, którzy wiernie stoją przy Orle Białym w koronie i przy wizerunku Matki Boskiej; manifestację również tysięcy Belgów, przyjął naszej słusznej sprawy.

Generał Anders przybył do Belgii na zaproszenie organizacji Grandes Conférences Catholiques. Ponadto generała zaprosiło także Stow. Polskich Kombatantów. W ten sposób, równocześnie, gen. Anders był gościem zarówno społeczeństwa belgijskiego, jak i wielkiej Polonii górniczej.

Odczyt generała na temat bitwy pod Monte Cassino i kampanii włoskiej, zarządzony przez Conférences Catholiques w wielkiej sali Beaux Arts w Brukseli zgromadził ponad 2.000 publiczności, w tym kilkuset Polaków. Prelegenta witano entuzjastycznie. Próba awantur, podjęta przez kilkadziesiąt osób (policja przytrzymała

83 osoby), zawiódła autorów starannie przygotowanej agitacji. Publiczność zareagowała bowiem jeszcze większymi owacjami pod adresem gen. Andersa i Wolnej Polski, a rękoczynami w stosunku do usiłujących przeszkadzać osobnikowi. Wśród wykrzykiwanych hasel komunistycznych jedno zwłaszcza zasługuje tu na podkreślenie, jako nowość, być może przedwczesnie przez jakiegoś goriwca wysunięta: „Vive la Pologne soviétique!“... Wyprowadzeniu awanturników z sali towarzyszyły okrzyki publiczności: „A Moscou!“

Odczyt zakończył się ostatecznie w zupełnym spokoju. Obecni byli wybitni przedstawiciele społeczeństwa belgijskiego i korpusu dyplomatycznego z kardynałem Van Roey i nuncjuszem apostolskim Mgr. Cento na czele. Ten sam temat był przedmiotem odczytu w języku francuskim również w Bruges i w Louvain. W starym Bruges generał był gościem tamtejszego Cercle Colonial et Maritime, w Louvain zorganizował odczyt tamtejszy oddział polskiej Bratniej Pomocy. W obu miejscowościach sale były szczególnie wypełnione publicznością, która niezwykle przyjaźnie i gorąco przyjmowała prelegenta.

Szczególnie żywiłową przebieg miała wizyta gen. Andersa w mieście młodzieży, w Louvain, gdzie gościa polskiego serdecznie podejmował także rektor katolickiego uniwersytetu Mgr. Van Waeyenbergh. Rektor wręczył Generałowi Medal Honorowy Uniwersytetu w Louvain, nadawany tylko w szczególnych wypadkach. Przed odczytami wyświetlany był film o bitwie pod Monte Cassino.

W czasie swego pobytu w Brukseli gen. Anders złożył wizytę nuncjuszowi apostolskiemu mgr. Cento, odbywając nadto szereg rozmów z innymi członkami korpusu dyplomatycznego.

Emigracja polska w Belgii przyjmowała generała najpierw w Brukseli, gdzie odbyła się na jego cześć lampka wina, zorganizowana przez Stow. Polskich Kombatantów, później na prowincji — kolejno w Charleroi oraz w Limburgii, w Eidsen i Waterschei. Generał odwiedził również w Brukseli Polską Misję Katolicką, Polski Instytut Naukowy, Tow. Pomocy Polakom w Belgii oraz spotkał się ze swymi towarzyszami broni z 2. Korpusu.

Spotkania generała z emigracją polską w Charleroi, w Eidsen i w Limburgii zorganizowane zostały staraniem

miejscowych Komitetów Przyjęcia gen. Andersa, utworzonych zgodnie przez Związek Polaków, Stow. Polskich Kombatantów i organizacje katolickie z duchowieństwem polskim na czele. Sale były wszędzie przepelnione, wszędzie też witano gen. Andersa najserdeczniej i najgoręcej, po żołniersku. Przemówienia generała, wyjaśniające obecne położenie, możliwości i nadzieje Polaków, przemówienia te pełne wiary w ostateczne zwycięstwo prawdy nad złem, prawa nad gwałtem, wiary w powrót do wolnej Polski pod sztandarami wojskowymi, rozgrzewały serca i umysły.

W Charleroi, gdzie zagał przez Koła S. P. K. Kuzak, słuchało generała około 800 osób. W Eidsen witał generała chlebem i solą pryzden Koła S. P. K. Fluder. Wzruszająca ta uroczystość zgromadziła 450 Polaków. W Waterschei zebrało się na powitanie gen. Andersa ok. 1.000 osób, przybyło również wielu Belgów. Na uroczystościach w Limburgii Ministra Obrony Narodowej reprezentował płk. Mary, komendant tej prowincji.

Wizyty generała Andersa zarówno w Charleroi jak i w Limburgii odbyły się w całkowitym spokoju i w serdecznej żołnierskiej atmosferze, nie mającej nic wspólnego z tym celem, jaki usiłowała osiągnąć agitacja komunistyczna. Pogroźki tej nie znalazły pokrycia w terenie. Trzy zaledwie osoby, usiłujące zakłócić spokój w sali w Charleroi, i ani jednego mąciela na obu zebraniach limberskich — oto jakże mizerny wynik wielotygodniowych krzyków i gróźb! Tym bardziej, że wśród nich trzech znalazło się dwóch komunistycznych radnych m. Charleroi. T. S.

Skarb Narodowy

Z Głównej Komisji Skarbu Narodowego komunikują:

Główna Komisja Skarbu Narodowego na posiedzeniu odbyłym pod przewodnictwem gen. W. Andersa w dniu 7. 12. b. r. powzięła uchwałę, w myśl której bilans Skarbu Narodowego na dzień 31 grudnia 1950 r. zostanie podany do publicznej wiadomości. W ten sposób opinia publiczna otrzyma miarodajne sprawozdanie z dotychczasowych wyników akcji zbiórkowej i ze sposobu gospodarowania zebranymi sumami.

PRENUMERATA z przesyłką pocztową (opłata za przesyłkę lotniczą w g. taryfy, płatna z góry): W W. BRYTANIJI szylingów: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-, rocznie £2.-.5; przyjmując: „Gryf“ — Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London, S.W. 11. Zmiana adresu 1s. — W BELGII: miesięcznie: frb. 20, kwartalnie frb. 60. Zamówienia i należności przyjmują: Mme. Roskiewicz, 44 rue Th. Vinotte, Bruxelles (Schaerbeek). Należności wpłacać na rachunek pocztowy: Mme. J. Roskiewicz, nr. 3172 28, podając swój dokładny adres. — WE FRANCJI franków fr.: miesięcznie 100, kwartalnie 300, rocznie 1 200. Zamówienia oraz należności przyjmują S-te „Libella“ Librairie — 12 rue St. Louis en l'île — Paris IV, nr. konta pocztowego Paris cc 565150. — W HOLLANDII miesięcznie fl.: 1,50, kwartalnie 4,30. Wpłacać przekazem pocztowym: Fr. Malecki, 17 Tulpenlaan Bij Gelin (Limburg). — W NIEMCZECH: zamówienia i wpłaty przyjmują: M. Gawuc, Księgarnia „Wiedza“, (13a) Schwandorf (Bayern), Bahnhofstr. 19. — W NORWEGII koron: miesięcznie 3, kwartalnie 8, rocznie 32. Prenumeratę przyjmują: Narvesens Kiosk Kompanii, Postbox 125, Stortingsgata 2, Oslo. — W POLSKU: TUGALII: kwartalnie 24 esc., rocznie 95 esc. Prenumeratę przyjmują: A. Zieliński, Lisboa Central, Caixa Postal Nr. 110. — W SZWAJCARII

franków szw.: miesięcznie 1,50, kwartalnie 4,30. Należności za prenumeratę wpłacać czekiem pocztowym (mandat de poste interne) pod adresem: Fribourg 2, Case postale 19. — W Szwecji koron: miesięcznie 3, kwartalnie 8, rocznie 32. Prenumeratę przyjmują: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 50/II Stockholm. — WE WŁOSZECH lirów: kwartalnie 500. Prenumeratę wpłacać przekazem J. Grochowski, via della Croce 81/8 Roma. Należności wpłacać przekazem pocztowym. — W ARGENTynie, kwartalnie 10,50 peso, półrocznie 39 peso. Prenumeratę przyjmują: J. Miecznikowski i T. Dabrowski, Libreria Polaca, Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. — W BRAZYLII: kwartalnie Cr. 35, półrocznie Cr. 70. Prenumeratę przyjmują: W SAO PAULO — H. Mueller, Rua Consolacao 56285, w stanie PARANA — Z. Kiedzińska, Av. Barcel 1514, CURITIBA — W AUSTRALII: prenum. kwart. 15shA — przyjmując: „Vistula“ (Australia) Pty., Ltd., — Pitt St., Sydney, oraz Adam Syriatowicz, Immigration Centre, RUSHWORTH, Victoria, prenumerata kwart. £0.15A, roczna £2.17.6, opłata kwartalną za premię £0.7.6A. — W KANADZIE: kwart. dol. 1.60, półrocznie dol. 3. Prenumeratę przyjmują: Polska Agencja Książek i Czasopism, 833 Front St. E. Toronto, ONTARIO, CANADA. — W POLU NIOWEJ AFRYCE:

kwartalnie 12,-, rocznie 45/-, Prenumeratę przyjmuje bezpośrednio „Gryf“, Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: kwart. dol. 1.50, półrocznie dol. 3. Prenumeratę przyjmują: L. Dudarew-Osseryński, „Wilno“, 28471 Ventura Boulevard, Agoura P.O. Box 115, California — „Gryf“, W. Bielowski, 808, Wager St., Utica N.Y. U.S.A. oraz Józef Biaśiewicz, Public Relations 1588, Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill. — OGŁOSZENIA na terenie W. Brytaniiirma Carlen Berry Co., Ltd., Grand Buildings, The Filders Square, London, W.C.2. lub „Gryf“ — Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.

CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez lam £1. Nadestanych rękopisów red. nie zwraca. Za treść ogłoszeń redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności. Adres Redakcji „Orla Bialego“: 314, Dean Road, London, N.W.2. Telefon: WILLESDEN 6920. Adres Administracji: „Gryf“ — Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11., telefon: BATTERSEA 0879.